PRĄD



DRUK. E. NICZ I SP. WARSZAWA, NOWY-ŚWIAT 70.

WARSZAWA — 1910.

Rok II = Nr. 11–12.

Do wszystkich egzemplarzy niniejszego numeru „PRĄDU" dołącza się po dwa zaproszenia do przedpłaty na rok 1911-ty z uprzejmą prośbą rozpowszechnienia wśród znajomych.

Jednocześnie dla wygody prenumeratorów prowincyonalnych, którzy jeszcze nie odnowili przedpłaty, załączamy przekazy pocztowe.

Składy Główne „PRĄDU":

Na Galicyę mieści się w księgarni Spółki wydawniczej polskiej w Krakowie, Rynek, Pałac Spiski.

Na Poznańskie i całą Rzeszę niemiecką w księgarni św. Wojciecha w Poznaniu, ul. św. Marcina 69.

Na Litwę i Białoruś w księgarni Józefa Zawadzkiego w Wilnie, ul. Wielka 27.

ROK II. — Nr. 11—12. Warszawa, Listopad i Grudzień 1910.

PRĄD

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNY I LITERACKO NAUKOWY

Wychodzi w końcu każdego miesiąca.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: WARSZAWA, Ulica WARECKA Nr. 10. Tel. 212-06.

PRZEDPŁATA ROCZNA: w Warszawie rb. 3, z przesyłką pocztową rb. 4. w Austryi koron 10; w Niemczech marek 9; we Francyi, Belgii i Szwajcaryi franków 11; w Stanach Zjednoczonych dolar. 2 cent. 10; w Anglii 9 szylingów

„LUDZI NAM DAJCIE!"

We wszystkich organizacyach, we wszystkich stowarzyszeniach, pracujących dla dobra współbraci rozlega się dziś jeden głośny okrzyk: „Ludzi nam dajcie!" — Dajcie ludzi! A więc ich niema? Dlaczego?

Przyczyną jest przesyt życiowy, zanik sił i energii, który leży w warunkach naszego życia — w natłoku zjawisk i wrażeń, które na proch ścierają naszą osobowość, jeśli się im nie opieramy. Zewnętrzność coraz więcej nas pochłania, gorączkowe życie zalewa tysiącem wrażeń, rozrywa tysiącem zatrudnień, pociąga i zwodzi tysiącem przyjemności. Jest to jeden potężny wir, który nas chce porwać, a skoro porwie—miota, jak wiatr jesienny zeschłymi liśćmi, i rzuca wreszcie — na śmietnisko. Zginęliśmy.

Jeżeli nie chcemy, by ten wir strzaskał nam ster, ostudził zapał, złamał energię i rzucił wreszcie zużytych daleko od wyżyn, na których świecą nasze młodzieńcze ideały — cofnijmy się do wnętrza!

Nie chcę przez to powiedzieć: uciekajmy od życia. Nie. Rzućmy się raczej w jego wir, bierzmy się z niem za bary, ale wpierw sięgnijmy do własnego wnętrza, poznajmy siebie, wykształćmy taką moc charakteru, którejby nic już nie zachwiało. Wtedy pójdziemy na walkę, ale pójdziemy z nadzieją pewnego już zwycięstwa.

Słychać wołania: Ludzi nam dajcie! Więc stańmy się ludźmi, ludźmi w całem tego słowa znaczeniu.

*

* *

Na czem mamy się oprzeć w tej pracy nad sobą? Żeby na to pytanie odpowiedzieć, sięgnijmy do własnego doświadczenia.

Stanem najczęstszym naszego ducha jest apatya i połowiczność.

Nie odczuwamy głęboko ani smutku, ani radości, żadna myśl nie rozpłomienia i do gruntu nie wstrząsa duszy, żadna praca nie pochłania całej naszej istoty.

Połowiczność widnieje w spełnianiu obowiązków, połowiczność nawet w rozrywce i zabawie.

Nie jest to jednak stan ciągły i niezmienny. Na tem szarem tle rzadziej lub częściej zjawiają się chwile, w których doznajemy uczucia, że nasze siły duchowe nagle się potęgują. Duch nasz wtedy olbrzymieje, czujemy się zdolni do heroicznych poświęceń i czynów bohaterskich. Nawet zmudna praca codzienna wydaje się nam przyjemną i sprawia radość niewymowną. Pracujemy z ogniem w oku i z rumieńcem na twarzy.

Szczęśliwe to stany i szczęśliwe chwile, a bodajby się powtarzały jaknajczęściej i trwały jaknajdłużej.

Wniknąwszy w przyczyny tych błogich stanów, zauważymy, że następują one zwykle po jakimś wielkim wysiłku, w którym wszystkie władze naszej duszy: i rozum, i wola, i uczucie wzięły harmonijny udział.

W tym fakcie psychicznym znajdujemy niezmiernie ważne dla siebie wskazówki.

Dowodzi on nam, że jeżeli chcemy odczuwać pełnię życia i napawać się jego radością — musimy żyć umysłem, wolą i uczuciem, a co za tem idzie, musimy kształcić i rozwijać wszystkie te władze odpowiednio do ich natury i przeznaczenia. To pierwsza i podstawowa zasada tak bardzo w naszym wieku intelektualizmu zaniedbywana. Można ją nazwać zasadą *harmonii.*

Każdą jednak władzę powinniśmy kształcić odpowiednio do jej natury i przeznaczenia, a więc naczelne miejsce zapewnić rozumowi, drugie woli, trzecie uczuciu.

Tego wymaga druga zasada t. zw. *hierarchiczności.* Wreszcie, jeżeli chcemy, żeby działanie przynosiło nam radość i zadowolenie wewnętrzne, musimy działać z całym wysiłkiem, do jakiego jesteśmy zdolni, nie dochodząc jednakże do nadmiaru, który powoduje zmęczenie i wyczerpanie.

Tego domaga się trzecia zasada, którą nazwać można zasadą *najwyższego natężenia.* Radość wewnętrzna jest nam potrzebna, bo ona jest potężną dźwignią w życiu. Tę radość dać nam może tylko całkowity wysiłek, w którym wszystkie władze duszy wezmą harmonijny udział, odpowiedni do ich natury — a więc precz z połowicznością! Kiedy myśleć, to z całem natężeniem; kiedy działać, to z całą energią; kiedy kochać, to całem sercem!

*

* *

Zanim przedstawię, jak kształcić naszą osobowość w świetle powyższych zasad, powiem najpierw nieco o potrzebie kształcenia strony fizycznej.

Ograniczę się do kilku tylko uwag, nie dlatego, żebym miał tę stronę lekceważyć, ale dlatego, że można łatwo znaleźć dziełka, i to nawet bardzo dobre, omawiające ten przedmiot w sposób wyczerpujący, a mnie tymczasem chodzi tylko o przypomnienie, że w ogólnem naszem wykształceniu nie możemy pomijać władz fizycznych, od nich raczej, jak od fundamentu, rozpocząć należy.

„Mens sana in corpore sano" — aforyzm, byle nie przesadnie rozumiany, zawsze prawdziwy. Wydajność pracy człowieka zdrowego musi być z natury rzeczy większą, aniżeli chorego.

Powiada O. Weiss, że kto chce być doskonałym chrześcijaninem, musi wpierw stać się doskonałym człowiekiem. Ktoś inny dodał dowcipnie, że kto chce być doskonałym człowiekiem, musi być wpierw doskonałem zwierzęciem. W tem powiedzeniu prawdą jest to, że powinniśmy poświęcić ciału tyle uwagi i troskliwości, żeby zeń uczynić *sobie sprężyste i wytrwałe narzędzie ducha.*

Zaniedbanie strony fizycznej fatalnie się odbija na stronie duchowej człowieka. Każdy mógł to sprawdzić bardzo łatwo na samym sobie.

Gdy jestem wyczerpany i osłabiony, energia zanika, uwaga słabnie, roztargnienia stają się coraz częstsze i dłuższe, zjawia się zaduma, chwiejność niezdecydowanie, staję się powolnym i ślamazarnym w pracy, niecierpliwym i przykrym dla innych.

Do takiego rozprężenia wewnętrznego nie można nigdy dopuszczać.

Najlepszym środkiem przeciw temu jest praca fizyczna, a w braku tej — gimnastyka, która umożliwia utrzymanie równowagi między władzami fizycznemi i psychicznemi.

ź„Mens sana in corpore sano", gdy czuję w kościach siłę, w mięśniach sprę ystość, wtedy i duch mój w takim pancerzu śmielej sobie poczyna.

Wracam teraz do tematu, który mię tu głównie zajmuje, mianowicie: jak mamy w świetle owych zasad: *harmonii*, *hierarchiczności* i *najwyższego natężenia* kształcić swój umysł, wolę i serce.

*

* *

Umysł odgrywa w naszem życiu rolę główną, podobną do tej, jaką, spełnia reflektor na maszcie okrętu. Aby mógł wywiązać się ze swego zadania, niezbędne mu są dwa przymioty: *samodzielność* i *jasność.*

Mogę nie mieć umysłu rozległego, głębokiego, przenikliwego, ale muszę mieć samodzielny i jasny, bo inaczej będę skazany na błąkanie się poomacku, albo inni powodować mną będą. Tamte przymioty są darem natury, te mogę, do pewnego stopnia, sam wykształcić.

Czy warunki, zapytam teraz, w jakich się kształcimy, sprzyjają rozwinięciu tych dwóch przymiotów? Niezupełnie!

Połowa winy za ten stan spada na wadliwy system nauczania. „Nauczanie dzisiejsze,—jak powiada Foerster,—jest ślepem i bezładnem zagarnia-

niem olbrzymich ilości t. zw. wiedzy, w którem zatarła się wszelka różnica między główną a poboczną, między istotną a przypadkową stroną rzeczy, między treścią i pełnią a pozorem i drobiazgiem. Człowiek staje się coraz obszerniejszym katalogiem wszelkich możliwych wiadomości, a zatraca, i już bodaj zatracił, jedynie dlań ważny związek z prawdą życia, z istotą i treścią życia".

Szkoła dzisiejsza z zakładu naukowego zamienia się „w jakiś zakład przemysłowy, w którym wyrafinowana technika w przyswajaniu przedmiotów zdobywa pierwszeństwo tak u nauczycieli, jak i uczniów". Taki system, rzecz prosta, nie może się przyczyniać do rozwinięcia umysłu.

Całą uczącą się młodzież podzieliłbym na dwie kategorye. Do pierwszej należą ci, którzy godzą się z systemem, spełniają, czego się od nich wymaga i pozostają w błogim spokoju. Poza przedmiotami obowiązkowymi i egzaminami dla nich nic nie istnieje, przynajmniej narazie.

Popełniają oni jeden błąd, który się na nich srodze zemści w późniejszem życiu. Wychodzą mianowicie z tego założenia, że głównym celem pobytu na studyach jest zdanie egzaminów i otrzymanie dyplomu, jeżeli się uda, to z odznaczeniem, pracę zaś dla życia odkładają na później. Za probierz, czego i jak się uczyć mają, biorą w pierwszym rzędzie *nie życie lecz egzamin.*

I jakiż z tego skutek? Taki, że wchodzą w życie z głową nabitą rozmaitemi formułkami, a nie mają nawet pojęcia o najważniejszych zagadnieniach ludzkości, o najgłówniejszych przynajmniej obowiązkach człowieka i obywatela. Żeby takim anomaliom zapobiedz, trzeba sobie jasno postawić przed oczy cel pobytu w szkole.

Celem subjektywnym jest: tak *wykształcić umysł, żeby się stał zdolnym do najproduktywniejszej pracy w przyszłości*, a więc wyrobić w sobie przedewszystkiem samodzielność i jasność myśli. Cele objektywne są dwa: zdobyć *wiedzę konieczną* i *poznać teren pracy.* Te dwa cele tak trzeba ze sobą godzić, żeby na osiągnięcie jednego i drugiego czasu wystarczyło.

Przez wiedzę konieczną rozumiem poznanie metody pracy i wiedzę w zakresie stanu lub zawodu, który sobie obrałem, tylko w zarysie, w ogólnych podstawach. Wszystko co pozatem stoi, mogę poznać, tylko w zarysie, w ogólnych podstawach, któreby mi ułatwiły późniejsze oryentowanie się. Chyba nie znajdzie się nikt tak naiwny, ktoby twierdził poważnie, że na ławach szkolnych trzeba w siebie wchłonąć wszystkie wyniki nowoczesnej wiedzy, a później czerpać tylko pełnemi rękami z tego skarbca, jakby z rogu obfitości.

Przez teren pracy rozumiem ducha czasu, prądy chwili, dusze, w których te prądy nurtują, potrzeby kraju i społeczeństwa, wśród którego żyję, wśród którego będę pracował. To wszystko powinienem poznać, bo przecież nie jestem tylko maszyną do uczenia się i do gadania, ale muszę działać. Jestem człowiekiem, więc nie mogę zostać molem książkowym, którego nic nie obchodzi, choćby się świat walił, ale powinienem być żywym członkiem społeczeństwa, składającym mu, w razie potrzeby, należną daninę pracy, potu a nawet krwi. Tymczasem młodzież, zaliczająca się do wymienionej przezemnie pierwszej kategoryi, zapomina o tem wszystkiem, zapomina i o celu, subjektywnym — wyrobieniu umysłu, a pamięta tylko o egzaminach, dyplomach i dobrych posadach w przyszłości. Czy takich osobników dużo się

znajdzie? Nie wiem, ale przypuszczam z tego, co słyszałem i widziałem—że są oni w znacznej mniejszości. Większość należy do drugiej kategoryi, a są to ci, którzy chcą pracować samodzielnie. Wpadają jednak w błąd również zgubny, a wprost przeciwny temu, w jaki wpada kategorya pierwsza. Jak tamci czytają bardzo systematycznie i bardzo mało, bo tylko to, co w podręcznikach się znajduje, tak ci czytają dużo ale *bez planu i zbyt pośpiesznie*. Zapominają o tem, że samodzielność nie polega na tem, że mogę według widzimisię fantazyi brać i czytać tę lub ową książkę. Jestto błąd fatalny. Każdy przecież ma z natury uzdolnienie w pewnym specyalnym kierunku. Zanim się weźmie do samodzielnej pracy, musi wpierw poznać ten talizman, który mu Bóg dał, tę pozycyę, którą musi wyzyskać, jeżeli chce znaleźć powodzenie w późniejszej pracy. Co wart żołnierz, który używa wszystkich rodzajów broni, ale żadnym dobrze nie włada. Niech przedewszystkiem nauczy się władać tą bronią, do której ma najwięcej zdolności i zamiłowania.

Więc w pierwszym rzędzie zdolności i rozumne upodobanie określają kierunek pracy.

Drugą wskazówką są potrzeby społeczeństwa. Trzeba wziąć pod ścisłą uwagę, jakie pola pracy są jeszcze niezajęte, niewyzyskane, jakie zawody niezapełnione, jakich ludzi społeczeństwu potrzeba. Taki wybór pracy może być dokonany już na ławach szkoły średniej, skoro się w tym celu spożytkuje choćby tylko czas wolny od zajęć obowiązkowych, którego przecież tak wiele się traci.

Obrawszy sobie kierunek pracy tem samem unikamy jednego błędu — rozproszenia. Baczyć jednak należy, żeby nie wpaść w drugi—zbytni pośpiech w czytaniu. Pamiętajmy, że samodzielność myśli zdobywa się jedynie przez myślenie i zastanawianie się na własną rękę.

Rozwój umysłu, jak powiada Plater-Zyberkówna, nie polega na wchłanianiu olbrzymiej masy wiadomości, ale na asymilacyi wiedzy z duchowym organizmem człowieka, wytwarzającej praktyczne pojęcia i pogląd na rzeczy, czynnikiem zaś wewnętrznym tej asymilacyi jest zastanowienie.

Więc zasadą kardynalną jest, żeby przy czytaniu nie poprzestawać na biernem wchłanianiu obcych myśli i przekazywaniu ich do skarbca pamięci, ale na wydobywaniu z siebie jaknajwięcej własnych refleksyi. Karmienie się jedynie myślami cudzemi wyjaławia nasze własne.

I dość często zdarza się spotykać człowieka, uginającego się pod balastem erudycyi, którego nie stać na żadną myśl własną. I nie może być inaczej, bo żeby wiedza mogła być w nas zaczynem twórczym, musimy ją sobie przyswoić *przez zastanowienie i usilne myślenie*. Wtedy nie będzie ona tą ciężką zbroją średniowiecznego rycerza, którą przywdziewał tylko w wojennej potrzebie, poruszał się w niej z trudem, a po bitwie wieszał na kołku — lecz stanie się krwią naszych żył, szpikiem kości, siłą mięśni, której w każdym wypadku będziemy mogli użyć z całą łatwością. Umysł nasz nie będzie wtedy workiem, który na to uszyty, żeby weń pchać różne przedmioty, lecz stanie się siłą twórczą i zawsze czynną.

Zbytni pośpiech w czytaniu przeszkadza nietylko do wyrobienia samodzielności myśli, ale nadto utrudnia niezmiernie zdobycie jasności, drugiego tak ważnego przymiotu umysłu. To, co zdobywamy w naszych studyach,

trzeba zdobywać jasno i dokładnie. Mętne poznanie nie zasługuje nawet na miano poznania i wprowadza tylko chaos do umysłu. Aby tego uniknąć, powinniśmy całą siłą powstrzymywać tę niezdrową gorączkę, która sprawia, że człowiek chciałby wszystko wiedzieć i o wszystkiem wyrokować.

Jeżeli naprawdę chcemy czegoś dokonać, powiedzmy sobie z góry, że encyklopedystami nie będziemy, a zamiast przebierać nogami z niecierpliwości na myśl, że takie olbrzymie pole wiedzy pozostaje jeszcze dla nas nieznane, zamiast wzdychać, denerwować się i chwytać za to i za owo — weźmy się spokojnie i systematycznie za to tylko, na co pozwalają nasze siły. Wielkiego potrzeba hartu woli, żeby tego dokazać. Najczęściej jednak ulega się pokusie.

Chwytam chciwie książkę, jedną, drugą, dziesiątą, ciekawość, niecierpliwość a często wstręt do wysiłku myślowego popędzają dalej i dalej, a gdy po niejakimś czasie zrobię obrachunek, widzę z przykrością, że owoce nie odpowiadają ani w połowie podjętym wysiłkom. Umysł nie stał się ani żywszy, ani jaśniejszy, ani w sumę wiedzy niewiele się wzbogacił, bo wiadomości nieugruntowane i nieprzetrawione jedne się ulotniły zupełnie, inne się zatarły i zaciemniły.

Streszczając wszystko, co powiedziałem, powtarzam: Jeżeli chodzi o cele pracy na ławach szkolnych, mamy ich dwa: subjektywny — wyrobienie umysłu, jasności i samodzielności myśli, i objektywny — zdobycie wiedzy koniecznej i poznanie terenu pracy.

W samej zaś pracy mamy się kierować dwiema zasadami ogólnemi: pracować w jednym obranym przez się kierunku i pracować systematycznie i spokojnie.

* * *

Wykształcić umysł, to jednak nie wszystko. Człowiek z wiedzą i rozumem nie stanowi nawet półczłowieka — to dopiero trzecia jego część. Aby stał się naprawdę człowiekiem w całem tego słowa znaczeniu, musimy oprócz wykształcenia umysłu podjąć zmudną ale konieczną pracę ku udoskonaleniu *woli* i *serca*.

Najpierw co do woli: pamiętać należy, że w tej samej proporcyi, w jakiej się wzmaga siła naszego umysłu i wzrasta zakres wiedzy, powinna się wzmagać i wzrastać zdolność do czynu. Przecież ze zdobytej wiedzy trzeba robić użytek, użytek zaś okażemy nie przez piękne słowa, lecz przez dobre czyny. „Bez czynów niema życia“ mówi O. Weiss — i słusznie. Zgadzam się zupełnie z pewnym autorem *), dowodzącym, że podział naszego życia na dwie połowy, z których w jednej karmimy się samą teoryą, w drugiej mamy żyć czynami—jest nienormalny. Między wiedzą a czynem, między teoryą a praktyką, nie może być przedziału. *Im więcej wiedzy, tem więcej czynów!* Czyn biorę tu w najobszerniejszem znaczeniu, jako twórczość. Godnym politowania jest fakt, że wchłania się moc wiadomości często jedynie dla zaspokojenia ciekawości, albo żeby mieć materyał do rozmowy lub dla zaim-

*) Gehidze: „W uniwiersitetie“.

ponowania w towarzystwie. A więc popisywanie się gadatliwością jest ostatecznym celem, alfą i omegą rezonera.

Smutne, gdy przy zdobywaniu wiedzy stawia się za główny cel nikłe rezonerstwo, a pomija się przeprowadzenie jakiejś idei i wcielenie jej w czyn. To też z całą swobodą mogę w tym wypadku przytoczyć skargę pewnego szermierza prawdy: *„Dawniej ludzie szukali chluby w czynach, my jej szukamy w opowiadaniu tych czynów!"*

A objaw taki wśród nas bardzo częsty. Nic więc dziwnego, że dają się słyszeć głosy, nawołujące do wejścia na nowe tory, do zawrotu z błędnej drogi. B. Prus woła: „Na miłość Boską, przyjacielu, nie stawiaj w swych marzeniach jako ideał—erudycyi, lecz twórczość, i dąż do tego, ażeby stać się nie jakąś gadającą encyklopedyą, lecz odkrywcą, wynalazcą, organizatorem choćby w najskromniejszej sferze pracy".

Czynów przedewszystkiem potrzeba, pracy pozytywnej, czy językiem, czy piórem, czy rękoma, a nie czczej gadaniny i przelewania z pustego w próżne! Miejmy oko i ucho otwarte na to, co nas otacza, i zadawajmy sobie ustawicznie pytanie: co tu w naszych warunkach mamy do zrobienia: może jakąś niewłaściwość usunąć, jakąś spaczoną ideę sprostować, jakąś myśl pożyteczną rzucić lub w czyn wcielić, temu dopomódz, tamtego zagrzać i dodać odwagi i t. d.

W ten sposób kształci się *duch inicyatywy i samodzielności.*

Ale nie dość pięknie zacząć, trzeba umieć dobrze skończyć. Nie wystarcza posiadać inicyatywę, potrzeba jeszcze *wytrwałości* woli, co znowu zdobywa się drogą licznych i nużących wysiłków. Ktoś powiedział, że geniusz, to wytrwała cierpliwość, i jeżeli niewiele posiadamy dzieł prawdziwie wielkich, to dlatego, iż naogół mało jest ludzi o energicznej i wytrwałej woli. Zanik woli jest chorobą naszych czasów. Objawy tej choroby spotykamy w życiu codziennem,—one nam dokuczają, męczą nas.

Możnaby za O. Weissem wyliczyć całą ich litanię: w dziedzinie umysłu — sny na jawie, chimeryczność, trzpiotowatość, rozproszenia i roztargnienia; w dziedzinie woli — zobojętnienie, ociężałość, bojaźliwość, niezdecydowanie, chwiejność; w dziedzinie uczucia — rozmaite bezpodstawne przeczuwania i odczuwania, urojenia, smętność, zły humor, kaprys i t. p.

Tłómaczymy to wszystko nerwami i powiadamy, że dzisiejsze pokolenie jest słabsze. Nie mam zamiaru temu przeczyć, ale też nie można uważać tego za dostateczną racyę opuszczania rąk. Przeciwnie — wzmacniajmy nasze ciało, hartujmy wolę, a jeżeli być może, całkowicie nie dorównamy przeszłym pokoleniom siłą fizyczną, to dorównamy i przewyższymy siłą moralną.

Gdy zdobędziemy tę siłę i wytrwałość woli, gdy wykształcimy jasny i samodzielny umysł — posiądziemy materyał konieczny do stworzenia charakteru. Materyał konieczny—powiadam—bo u kogo w głowie zasady kłębią się i mieszają, jak gotująca się w naczyniu woda, komu brak energii i wytrwałości, ten nie będzie nigdy człowiekiem charakteru.

Na charakter bowiem składają się dwie rzeczy: *jasne zasady* i *niezachwiana wierność* tym zasadom.

Jasne zasady — zarówno te podstawowe, ostateczne, które są jakby drogowskazami w całem naszem życiu, jak i te drobne, praktyczne, któremi

się kierujemy w codziennem postępowaniu — i wierność tym zasadom, wierność danemu słowu, wierność samemu sobie, wykluczająca wszelki oportunizm, półśrodki i paktowania — to jest charakter.

* *
*

Tak więc, charakter—to zgodność zasad z postępowaniem, to harmonia rozumu i woli. Do pełności jednak pojęcia o dzielnym człowieku, jak już zaznaczyłem, jeszcze brakuje czegoś — *uczucia.*

Można się spotkać z poglądem, że uczucie to rzecz kobieca, a mężczyznie jest potrzebny tylko silny charakter, Mniemanie takie całkowicie błędne. Charakter i uczucie są rzeczami nierozdzielnemi, tak w mężczyznie, jak w kobiecie. Jeżeli brakuje człowiekowi jednego lub drugiego, staje się kaleką moralnym. Uczucie bez charakteru może bardzo łatwo sprowadzić na manowce, bo to siła ślepa; charakter zaś bez uczucia wyrodzi się w twardość, bezwzględność i brutalny egoizm. Człowiek bez uczucia niejako się starzeje, czynności jego stają się suche, twarde, tracą świeżość i powab wiosenny. Ale czemże jest owo uczucie?

Uczucie, uczuciowość, powiadają nam, to skłonność do wzruszeń—wrażliwość inaczej. Nie można się jednak na to zgodzić. Przecież może ktoś być bardzo wrażliwym na pobudki zewnętrzne lub wewnętrzne, może być czemś wzruszony do głębi, może analizować to swoje wzruszenie, zapisując cały kajet wynikami dociekań w tym przedmiocie, może stworzyć niejeden piękny i czuły wierszyk i t. d., ale, gdy nie będzie posiadał nieodzownego warunku uczucia t. j. *samozaparcia i ofiary*, nie będzie też posiadał i uczucia. „Iluż spotykamy mężów, mówi O. Weiss, którzy posiadają wszystko, co nas zmusza do ich szanowania, ale brak im jednej rzeczy — uczucia. Brak im tego daru, tej umiejętności zniżania się, wychodzenia z koła swych myśli, żywego oddania się temu, co serca innych porusza. Tacy ludzie nie pociągną nikogo do siebie".

Gdzie panuje gruby egoizm, tam o prawdziwem uczuciu i mowy być nie może. Przykro nam obcować z człowiekiem, z którym zawsze tylko o jego interesach mówić musimy, którego nasze troski wcale nie obchodzą. Nudzi nas jego wygórowane rezonerstwo, niesmak nam sprawia jego chętka poprawiania wszystkiego i krytykowania wszystkich, chętka decydowania we wszystkich sprawach. Przeciwnie, czujemy się szczęśliwi w obcowaniu z człowiekiem, który patrafi wniknąć w nasze poglądy, potrafi postawić się w naszem położeniu, z nami współczuć, z nami się cieszyć.

Nietrudno teraz odpowiedzieć, czem jest uczucie. Jest to serce otwarte na wszystko, co innym ból lub radość sprawia; serce gotowe obchodzić się z innymi tak, jakby chciało, aby się z niem obchodzono; serce, bijące dla cudzych trosk tak żywo i gorąco, jak dla własnych.

Jakże je zdobyć, a przedewszystkiem, czy zdobywać warto?—Bezwątpienia!

Choćby wzgląd objektywny, rozkaz Boży: „Kochaj bliźniego, jak siebie samego" nie przemawiał do nas tak wymownie, same już racye subjektywne mogłyby nas o tem przekonać.

1-o Uczucie rozszerza horyzonty naszego poznania. To, co podziwiamy w kobietach — intuicyę, jest owocem uczucia. Matka instynktowo odczuje nawet dalekie niebezpieczeństwo, grożące jej dziecku, czego nie dokaże zimny rozum mędrca.

2-o Jest ono niezmiernie silnym motorem działania. Ono rodzi czyny bohaterskie. Tam, gdzie rozum się cofa, gdzie wola się chwieje, uczucie zdolne nas ożywić, pokrzepić, natchnąć nową odwagą i zapewnić zwycięstwo.

3-o Uczucie pozwala nam zażyć wielu szlachetnych radości, których nie zaznaje samolub. A choć prawdą jest, że człowiek z uczuciem żywiej odczuwa wszystkie smutki i bóle, jednak i to prawda, że niemniej żywo, głęboko odczuwa wszystkie radości życia.

4-o Uczucie ozdabia nas tym miłym wdziękiem i powabem, który pociąga ku nam serca innych. To zaś w życiu ma wielką wagę, bo potrafimy wtedy dla wzniosłych i szlachetnych idei pozyskać innych, a temsamem pracę naszą uczynić owocniejszą.

5-o Uczucie wreszcie podtrzymuje w nas młodość ducha. Jak miło spojrzeć na starców, siwizną pokrytych, którzy jednak zachowali czoło jasne i pogodne, oko błyszczące młodzieńczym zapałem, bo całe życie poświęcili dla innych. Z chwilą, gdy poczynamy żyć tylko dla siebie, kurczymy się, usychamy, zapał i energia w nas nikną, słowem, starzejemy się niejako i do żadnej pracy pozytywnej, dla dobra ogółu podjętej, już się nie weźmiemy.

Jakże jednak zdobyć to uczucie?

Ściśle mówiąc, zdobywać go nie potrzebujemy, bo każdy z nas posiada je z natury; powinniśmy tylko je rozwinąć i pchnąć w odpowiednim kierunku.

Wola nasza—mówi Foerster—dąży w dwóch kierunkach: odśrodkowym i dośrodkowym.

W wieku dziecięcym i młodzieńczym przeważa kierunek odśrodkowy. Człowiek wybiega poza siebie, lgnie całą duszą do otaczającego go świata.

Im bardziej jednak oddalamy się od naszego dziecięctwa, a wchodzimy w wiek męski, tembardziej bierze górę kierunek dośrodkowy, egoistyczny. Własne troski, zamiary i cele coraz więcej i więcej pochłaniają naszą uwagę. Zasklepiamy się coraz więcej w sobie i spostrzegamy, że stopniowo coraz mniej rozumiemy i odczuwamy innych.

Własne interesy przedstawiają się nam w postaci wspaniałych obrazów, mieniących się przepysznemi barwami tęczy, a troski i zabiegi innych wyglądają w naszych oczach, jak chińskie malowanki bez kolorytu i perspektywy.

To spostrzeżenie głębokiego psychologa każdy z nas może sprawdzić z łatwością.

Kierunek ten dośrodkowy, egoistyczny, już i w nas przeważa, chociaż z wieku młodzieńczego jeszcześmy nie wyszli.

W najlepszym nawet razie jesteśmy tylko „moralnymi dalekowidzami"— jak powiada Foerster—t. j. oburzają nas krzywdy i niesprawiedliwości, popełniane gdzieś o dziesiątki lub setki mil, ale w stosunkach z naszymi, najbliższymi brak nam tej *wyrozumiałości*, tego *ciepłego współczucia*, które goi

rany i łzy ociera, a natomiast jakże wiele *bezwzględności* i *bezmyślnie twardego serca.*

Jeżeli nie chcemy zostać egoistami, powinniśmy ocenić niebezpieczeństwo i zawrócić, póki czas. Przedewszystkiem powinniśmy się przejąć ideałem społecznym braterstwa i współdziałania; przejąć się do głębi tą prawdą, że jeżeli czynimy cośkolwiek dobrego dla tych, którzy nas otaczają, nie jest to czyn naszej wspaniałomyślności, ale raczej spełnienie istotnego obowiązku. Wszyscy bowiem dążymy do jednego ostatecznego celu, wszystkim nam przyświeca jeden wspólny ideał: „Bądźcie doskonałymi, jako Ojciec wasz Niebieski doskonały jest", więc nie możemy pozostawać jeden dla drugiego zimnym głazem, ale musimy się *dźwigać i wspierać wzajemnie*, bo inaczej popadamy w drodze.

Samozaparcie, ofiarność i pomoc wzajemna, to pierwsza i podstawowa zasada, którą musi przyjąć każdy, kto chce wykształcić w sobie uczucie.

Jeżeli na niej się oprzemy, wtedy nie zawahamy się wyciągnąć bratniej dłoni i otworzyć serca każdemu, kto będzie tego potrzebował, nie zaniechamy poprzeć żadnego szlachetnego usiłowania, żadnej dobrej myśli, zamiast, jak się to bardzo często zdarza, *potępiać ją i topić dlatego tylko, że się urodziła nie w naszej głowie*— słowem, będziemy się starali „być wszystkiem dla wszystkich".

Taka jest jednakże natura ludzkiego uczucia, że nie obejmuje ono wszystkich odrazu. Rodzi się ono w bardzo szczupłem kółku. Kochamy najprzód tych, którzy są z nami związani węzłami krwi: rodziców, braci, siostry. Silniejszymi od węzłów krwi bywają często węzły przyjaźni. Otóż to pierwsze uczucie, czy to będzie miłość ojca, matki, brata lub przyjaciela, trzeba pochwycić i rozpalić jaknajmocniej. Trzeba je odczuć i przeżyć.

Kto nigdy w życiu nie przejął się czyjemiś pragnieniami, smutkami i radościami, tak, jak swemi, i więcej niż swemi, jakże potrafi zrozumieć i odczuć wielu? Jakże może kochać wszystkich, jeżeli jeszcze nikogo prawdziwie nie kochał?

Trzeba więc postarać się o taki pierwowzór miłości bliźniego i to uczucie coraz więcej i więcej na innych rozszerzać.

Od miłości rodziny do miłości rodzinnej wioski lub miasta, a stąd do miłości całego kraju, całej ojczyzny, całej ludzkości. Taki jest naturalny rozwój uczucia. Zaczyna od małego kółeczka i powoli zatacza coraz większe, aż powie: „Nihil humani a me alienum", —niema dla mnie nic obojętnego; co innym ból lub radość sprawia, to i mnie smuci lub cieszy.

* *
*

Starałem się przedstawić ideał człowieka w pełnem tego słowa znaczeniu: umysł jego rzutki i jasny odkrywa nowe prawdy, wskazuje proste i jasne zasady postępowania; wola niezachwianie idzie za wskazówkami rozumu i w czyn je zamienia; uczucie nadaje temu wszystkiemu ciepło i koloryt, czyni miłem i pociągającem. Oto harmonia ducha. Taką chciałbym widzieć w sobie i w innych.

Gdy ją osiągniemy, — nic nas nie poruszy. I choćby przypadło nam w udziale najtrudniejsze zadanie — choćby na naszej drodze piętrzyły się największe przeszkody — choćby nawet nad głową nam szalała burza z piorunami — my pójdziemy naprzód — i zwyciężymy.

Maryan Wiśniewski.

O TOŁSTOJU.

(Ustęp z większej całości).

I.

W roku 1883 wyrzekł się Tołstoj w swojej *Spowiedzi* wszystkiego, co pisał przedtem, niesłusznie. Rok ten nie stanowi linii granicznej,—zwrot nie był nagły, został przygotowany przez całą uprzednią twórczość mistrza. Szukanie prawdy było w nim namiętnością, cechowało wszystkie jego utwory, począwszy od najwcześniejszych. Wszystko, co pisał, jest wyrazem nieustającego rachunku sumienia, które zadręcza siebie pytaniami o znaczeniu i celu życia. Wstręt do siebie oznaczył Tołstoj jako jedno z tych uczuć, które w nim od dzieciństwa najsilniej się objawiały.[1]) Niepokoiło go to, że spędzał życie w dostatkach i wygodzie, gdy inni w pocie czoła na kawał suchego chleba pracować muszą. Widok chłopa przy pługu lub żniwie upokarzał go: „Choć lud nie istniał dla mnie, jednak ile razy w czasie przechadzek moich spotykałem pracujących chłopów lub chłopki, doznawałem zawsze nieświadomego a silnego zakłopotania, starałem się, aby oni mnie nie widzieli!“.[2])

Równocześnie jednak buchała w nim z żywiołową siłą panteistyczna miłość natury, napełniając go burzliwą jakąś radością, która wśród niepokojów i wątpień wlewała weń otuchę i siłę życia. Panteizm Tołstoja, będąc czuciem miłości człowieka w ogromie wszechświata, objawił się w postaci wręcz odmiennej od tej, którą znalazł był w owej epoce i przedtem w filozofii niemieckiej.

Ona roztapiała wszechświat w człowieku, poczytując nieskończenie rozmaite formy natury za stopnie tylko w rozwoju idei, która w myśli ludzkiej swój ostateczny rozwój zdobywa, Tołstoj zaś roztapia człowieka, niby nikły atom, w oceanie bytu. Był to panteizm raczej azyatycki, z tą jednak nie azyatycką cechą, że nastrój smutku i pesymizmu, który tak łatwo kojarzy się z czuciem małości człowieka i ze świadomością jego opuszczenia, zanikał

¹) „Młodość" r. III.
²) Ib. XXXII.

u Tołstoja wobec rozkoszy, którą dawała mu kontemplacya piękna natury. Piękno to niosło mu świeżość i zdrowie, dając pogodę i życzliwe usposobienie dla świata—i dzięki temu życie nabierało wdzięku. Po prześlicznym opisie, w autobiograficznej powieści *Młodość*, budzącej się wiosny, dodał on następujące znamienne słowa: „Wszystko to wyraźnie mówiło mi o czemś nowem i pięknem, o czemś, czego nie potrafię wyrazić, jak się to mnie przedstawiało, ale przynajmniej wrażenie moje postaram się Wam opowiedzieć, — otóż wszystko mówiło mi o pięknie, szczęściu i cnocie, o tem, że i jedno i drugie łatwe jest i możliwe, że jedno nie może istnieć bez drugiego, że nawet piękno, szczęście i cnota to jedno i to samo. Jakże ja mogłem tego nie rozumieć—mówiłem do siebie—jakże ja zły dotąd byłem, ale jakże dobrym i szczęśliwym mogę zostać w przyszłości. Więc prędzej, prędzej, w tejże chwili stać się trzeba innym człowiekiem, trzeba zacząć żyć inaczej. "[1])

Po takich chwilach chciało mu się iść szukać w życiu cnoty i szczęścia. Oczywiście miłość dużo daje szczęścia, ale czyż wszystkie jej rozkosze, czyż całe jej piękno nie pryska jak bańka mydlana wobec niezmiennego piękna wszechświata? Prześlicznie opisał Tołstoj jakąś schadzkę miłosną. Księżyc wznosił się coraz wyżej i coraz jaśniej świecił na niebie, odbijając się w pysznych blaskach stawu. Cienie nocy wydawały się coraz mroczniejszymi, a światło coraz przezroczystszem,—i młodzieniec wpatrzył się w błękit, w jasność, w księżyc, w tajemnicze cienie,—i uczuł wyraźnie, że *ona* z obnażonem pięknem swoich ramion i z gorącymi uściskami wcale jeszcze szczęściem całem nie jest — że miłować ją nie jest całem dobrem... I imbardziej patrzał on w odległy i pełny księżyc, tem wyżej wznosiły się prawdziwe piękno i dobro, tem stawały się czystsze i tem bliższe Tego, który źródłem jest wszelkiego piękna i dobra. I oczy napełniały mu się łzami niezaspokojonej, wzruszającej radości". [2])

Ale upojenie naturą, to nastrój zbyt nieuchwytny, ażeby mógł stać się dźwignią w szukaniu cnoty i szczęścia, tembardziej podstawą etyki. W potężnym prądzie wszechświatowego życia, który unosi jedne istnienia po drugich, pokrywając je falą zapomnienia, maleją wszystkie marzenia i dążenia, wszystkie porywy i namiętności, a wraz z tem zacierają się nawet różnice między dobrem i złem. W powieści *Kozacy* (1852) przedstawił Tołstoj w osobie Olenina postać, która ściśle wiąże twórczość jego z uprzednią epoką romantyzmu, z bajronizmem Puszkina i Lermontowa. Rzuca on cywilizacyę i pędzi na Kaukaz, ażeby wypocząć i odnowić się na łonie natury — i tam w ciągłem obcowaniu ze starym kozakiem Jeroszką, życie zaczyna mu się przedstawiać z zupełnie nowej strony: „I stało mu się jasno—czytamy o tem (rozdział XX)—że nie jest on wcale szlachcicem rosyjskim, kimś z towarzystwa moskiewskiego, krewnym lub przyjacielem tych i owych, ale że jest poprostu takim samym komarem czy bażantem, czy jeleniem, jak te, co żyją naokoło niego; tak samo, jak one, jak Jeroszka, pożyję i umrę—i prawdę mówi Jeroszka, że tylko trawa porośnie".

---

[1]) „Młodość" rozd. II.
[2]) „Młodość" r. XXXII.

Otóż ta filozofia Jeroszki odurza go, z rozkoszą wyrywa się on z tych przeciwieństw natury i człowieka, które legły w osnowie cywilizacyi, i zanurza się w kojącej go myśli o nierozerwalnej spójni z wszechstworzeniem, o braterstwie i równości ze światem zwierzęcym. Charakterystyczne prowadzi on z Jeroszką rozmowy; stary kozak opowiada mu (r. XV), jak się zaczaił, ujrzawszy nadchodzących dzików, aby wystrzelić, „aż tu jak parsknie samica do swoich prosiąt: Oj biada, dzieci, człowiek siedzi. —I wszystkie w krzaki, aż zatrzeszczało. Złość mię porwała, tak zdaje się, że zębami bym ją rozerwał".

„Jakżeto świnia prosiętom powiedzieć mogła, że człowiek siedzi?"

„A ty co myślałeś—myślałeś, że zwierz jest głupcem, co? Nie, bracie, on mądrzejszy od człowieka, napróżno go świnią nazywają; on wszystko wie, ot choć ten przykład weź: człowiek mimo śladu przejdzie i nie zauważy, a niechno tylko świnia na twój ślad natrafi; w tejże chwili wymknie się w stronę. To znaczy, że rozum w niej jest. Ty swego zapachu nie czujesz, a ona czuje. A i to jeszcze: ty ją zabić chcesz, a jej się chce żyć i po lesie chodzić. U ciebie takie prawo, a u niej inne. Ona świnia, a jednak nie gorsza od ciebie; takież samo stworzenie Boże".

Lecz zanik świadomości różnicy między człowiekiem a zwierzęciem prowadzi za sobą zanik pojęcia grzechu: „Wszystko Bóg zrobił — tłumaczy Jeroszka (r. XV) — człowiekowi na radość, grzechu w niczem niema. Ot patrz na zwierzę i bierz przykład". Oleninowi podobała się piękna kozaczka, ale już jest czyjąś narzeczoną. Jeroszka z przyjaźni wielkiej proponuje, że mu ją dostarczy. (r. XII).

„Co gadasz stary! toż grzech!".

„Grzech, gdzie grzech? Na piękną dziewczynę patrzeć to grzech? Pohulać z nią grzech? Więc i kochać ją także grzech? To u was tak? Nie, bracie — to nie grzech a zbawienie. Bóg Ciebie stworzył — Bóg i dziewczynę stworzył. Więc patrzeć na piękną dziewczynę to nie grzech. Na to ona, żeby ją kochać i radość z niej mieć. Tak to ja sądzę, dobry człowieku".

Wynikiem jednak takiego upojenia naturą staje się w końcu w duszy Olenina rozdwojenie między egoistyczną filozofią walki o byt, wypływającą z poglądu, że niema grzechu, gdyż wszystko Bóg stworzył dla radości człowieka, a etyką miłości, którą wlewa kontemplacya piękna natury. „Natura obejmuje człowieka i napełnia go spokojem i mocą, więc czyż to może być— woła Tołstoj — ażeby ludziom było ciasno na tym pięknym świecie, pod tem nieskończonem gwiazdzistem niebem? Czyż wobec czaru natury mogą utrzymać się w duszy człowieka uczucia złości, zemsty, albo namiętności mordowania podobnych istot?"

Razu pewnego Olenin, patrząc na jasne niebo, na zachodzące słońce i rozkoszną zieloność i odczuwając duszą całą swoje szczęście, zadaje sobie pytanie, dlaczego on jest tak szczęśliwy teraz, a nie był nim dawniej w wielkim świecie, wśród pieszczącej zbytkiem choć konwenansami krępującej cywilizacyi. I nagle zstępuje nań, jakby nowe światło. „Szczęście polega na tem—odpowiada sobie—(r. XX) aby żyć dla innych. To takie jasne.

Potrzeba szczęścia zawartą jest w człowieku, więc jest prawowitą. Jeśli jej czynię zadość samolubnie, gonię za bogactwem, sławą i wygodami życia, miłością, to zdarzyć się może, że okoliczności złożą się tak, iż nie będzie podobieństwa zaspokojenia tych pragnień. A zatem pragnienia te są nie prawowite, nie zaś potrzeba szczęścia. Jakież więc pragnienia mogłyby być zaspokojone pomimo warunków zewnętrznych? Jakie? Miłość, zaparcie się siebie?"...

„I Olenin tak się uradował i wzruszył, odkrywszy tę nową, jak mu się zdawało, prawdę, że zerwał się na równe nogi i począł niecierpliwie rozmyślać, dla kogo ma on siebie conajprędzej poświęcić, komu czynić dobrze, kogo kochać?"

Są więc chwile, gdy go ogarnia potrzeba kochania wszystkiego i wszystkich, „onby pragnął na wszystkie strony rozciągnąć pajęczynę miłości i chwytać każdego, kto w nią padnie" (r. XXVIII). Lecz wszystkie te piękne uczucia, cała ta etyka miłości rozwiewa się wobec najścia namiętności, którą w nim budzi prosta kozaczka, wobec żądzy posiadania jej, pomimo, że innemu już przyrzeczoną została. I przekonywa się Olenin, że wzniosłe zasady, które z takim trudem wypracował był w sobie w obcowaniu swojem z naturą, które wydawały się mu rozwiązaniem wszystkich dręczących go zagadnień, skarbem najdroższym, że zasady te gdzieś się nagle zaprzepaściły, zniszczone ogniem namiętności i nietylko już ich niema, ale nawet „żaden po nich żal nie pozostał"... „Nawet pojąć teraz nie mogę, że mogłem tak cenić taki jednostronny i zimny nastrój umysłu. Przyszło piękno i jako puch się rozwiała cała ta wewnętrzna robota egipska. I żal nawet nie zostało po tem, co zniknęło! Poświęcenie? — Ależ wszystko to jest głupstwem, niedorzecznością. Wszystko pychą, schroniskiem przed zasłużonem nieszczęściem, a zabezpieczeniem siebie od zawiści przeciw cudzemu szczęściu. Żyć dla drugich, tworzyć dobro? Po co? gdy w duszy mojej żyje tylko jedna miłość siebie i jedno pragnienie: ją kochać, żyć z nią jej życiem" (r. XXXIII)...

Oczywiście nie było to rozwiązaniem zagadnienia życia, tylko powiewem zwątpienia, które niósł za sobą smutek analizy, pozbawionej światła wiary w objektywną prawdę i w Żywego Boga...

II.

A bez wiary w Boga życie niczem innem nie jest, jak krótkiem przejściem z nędzy narodzin do zgnilizny grobu — i jedyną filozofią może być tylko pesymizm.

Skłonność do pesymizmu przyniósł był Tołstoj z sobą na świat; tembardziej w filozofii tej się utwierdził, gdy przeczytał Schopenhauera w roku 1869. Ale zamiast rezygnacyi, filozofia ta, którą on nazwał „jedyną poważną, sumienną i ścisłą", niosła mu rozpacz. Więc walczył z nią — i w końcu przemógł. Przemógł, oparłszy się na doświadczeniu wewnętrznem; nauczyło go ono, że silniejszym, niż rozum, który do negacyi tylko prowadzi, jest instynkt życia, a instynkt ten jest żądzą nieśmiertelnego trwania i każe przyjąć nieśmiertelność duszy i Boga. A głos tego instynktu życia roz-

brzmiewa tem donośniej, im rozpaczliwsze są wyniki negacyi rozumu, im przeto silniej pochłania pesymizm. Fakt ten stwierdziwszy, wyprowadził stąd Tołstoj wniosek, że życie jest czemś pierwotniejszem, niż rozum, i dlatego w szukaniu prawdy zasadniczej: *po co żyję*, pierwszeństwo ma instynkt życia, nie zaś rozum. Trzeba instynktowi życia zaufać, t. j. zacząć żyć tak, jakgdyby życie miało znaczenie nieskończone i bezsilną przeciw niemu była śmierć — innemi słowy, trzeba żyć „po Bożemu", a godząca człowieka z życiem wiara w Boga będzie tego wynikiem, nagrodą.

W tym poglądzie, w tej teoryi poznania, według której nie rozum, lecz życie, oczywiście życie wyższe, ponadzmysłowe jest drogą do poznania prawdy absolutnej, Tołstoj miał poprzednika w osobie równie genialnego jak świętobliwego teologa, kardynała Newmana, a wyprzedził jego następców i ich filozofię czynu. Choć w inny sposób i innemi słowy wyrażali oni tę samą myśl zasadniczą — ale spotkawszy się z nimi szedł potem Tołstoj w przeciwną stronę — z pojęcia Boga nie wyprowadził, jak oni, pojęcia Kościoła.

Nie przywiązywał bowiem wagi do zagadnień religijno-teologicznych; pochłaniały go wyłącznie zagadnienia moralne. Ernest Dimnet, określając Newmana, jako geniusz religijny, dodał, że geniusza tego cechą jest „percepcya rzeczy boskich głębsza, łatwa, bezpośrednia"; tej „bezpośredniej percepcyi rzeczy boskich" Tołstoj nie miał nigdy, natomiast miał percepcyę obrzydliwości zła moralnego, „głęboką, łatwą, bezpośrednią", przytem nieskończenie bolesną—dlatego też można go nazwać jednym z największych, powiedziałbym nawet, *największym geniuszem moralnym*, jakiego świat widział. Nikt nigdy z taką potęgą oburzenia nie obnażał i nie piętnował grzechu i nędzy pokłóconego z Bogiem życia indywidualnego i społecznego.

Dlatego to, kończąc, powtórzę tu, co przed laty dziesięciu, z powodu „Zmartwychwstania" Tołstoja pisałem: „Zamiast zagłębiać się w tem, co nas różnić może od Tołstoja, zamiast w nim widzieć przedewszystkiem wroga Kościoła, lepiej spojrzeć na to, co do niego zbliża—uczcić potęgę jego myśli, gorącość uczucia, szczerość woli, uczcić ten *chrzest z ognia*, przez który on przechodził w szukaniu prawdy — i uznać w nim sojusznika w walce ze złem, wybrańca ducha, głosiciela tego zmartwychwstania, w którem, „jako dalekim jest wschód od zachodu, tak oddala Bóg od człowieka grzech jego" — i „jako orła odnawia młodość jego". (Ps. 103).

M. Zdziechowski.

Walka klas wobec etyki.

W zbiorowem życiu ludzkiem istniały zawsze wielkie różnice tak pod względem wyposażenia dobrami materyalnemi, jak również w przywilejach społecznych, państwowych i politycznych. I taki stan rzeczy przez długie wieki nie był uważany za niesprawiedliwy, ani przez uprzywilejowanych, ani nawet przez pokrzywdzonych. — Dopiero wysubtelnienie pod wpływem

chrześcijaństwa pojęć moralnych: sprawiedliwości i poszanowania ludzkiej godności, sprowadziły zmiany zasadnicze. Równocześnie nastąpiły gwałtowne przewroty w gospodarce społecznej przez wprowadzenie maszyn; udoskonalona technika w zastosowaniu do wytwórczości spowodowała niepomierne różnice pomiędzy klasą posiadającą t. j. pracodawcami i klasą robotniczą, żyjącą wyłącznie z pracy rąk. — Pierwsza faza społecznego życia w dobie powstania wielkiego przemysłu uwidoczniała z jednej strony koncentracyę kapitału, z drugiej ciągle postępujące proletaryzowanie mniejszych, niezależnych wytwórców. Taki stan rzeczy musiał stale sprowadzać coraz większy rozdział w interesach obu klas i budzić niezadowolenie. Wielu przywódców i opiekunów ruchu robotniczego, wskutek krótkowzrocznej obserwacyi życia w swych teoretycznych założeniach, pominęło niektóre właściwości ludzkiej natury i wskutek tego na fałszywych oparło się zasadach. Marx i Engels, stawiając teoryę ewolucyi społecznej, według której miało nastąpić z jednej strony zubożenie najszerszych mas, a z drugiej spotęgowanie bogactw nielicznych kapitalistów, poczem wywłaszczenie wywłaszczycieli, — wykluczyli działanie wszelkich czynników moralnych dobrej woli, porozumienia z pracodawcami. To nowe bezklasowe społeczeństwo miało powstać na skutek przymusu, presyi, wywieranej przez masę zrzeszoną coraz bardziej zwiększającego się proletaryatu, posiadającego dość sił, by dla własnego wyłącznie interesu obalić panowanie garstki wielkich kapitalistów.

Okazuje się jednak, że według tej teoryi stosunki gospodarczo-społeczne wcale się nie kształtują. Wielki przemysł spowodował znaczne zapotrzebowanie robotników wykształconych zawodowo, a z niem podniesienie i zabezpieczenie odpowiedniej płacy, co daje gwarancyę wzrastania stanu średniego a nie zmniejszania go. Ta okoliczność każe wykluczyć zmianę ustroju społecznego wskutek jakiegoś gwałtownego kataklizmu. Reprezentanci warstw robotniczych są dzisiaj dopuszczeni w wielu już krajach do urzędów państwowych i ciał prawodawczych, obdarzeni zaufaniem ogółu, mają stanowić o interesach wspólnych, a nie pewnej tylko klasy. Nie burzyć więc a przekształcać strukturę gospodarczą powinni dla zabezpieczenia dobra powszechnego; pod tym kątem widzenia pojęcie „walki klas", z nauki i programu socyalistycznego, w takiem znaczeniu, jak ono tu figuruje, winno być zupełnie usunięte. Jest ono bowiem postawione jako zasada, wykluczająca możność solidarnego współdziałania wszystkich warstw; rodzi samolubstwo i egoizm klasowy tych, co najgłośniej do uczuć demokratycznych się odwołują; budzi instynkty antykulturalne, żądzę zdeptania swoich współobywateli; nadto jest używane jako przeciwstawienie do zgody i porozumienia.

W jak wysokim stopniu są szkodliwe tego rodzaju teorye, dowodzi fakt, że zaślepieni wojownicy klasowi często nie rozumieją i nie dostrzegają treści społecznego życia i własnych interesów, które wspólna przynależność do jednego społecznego organizmu wytworzyła. Wystąpić więc należy przeciw stawianiu pojęcia walki klas, jako zasady całego społecznego zagadnienia, i przeciw opieraniu całej taktyki i postępowania na idei przeciwień-

stwa. Że inna taktyka, inny fundament jest konieczny dla pomyślnego rozwoju ruchu robotniczego, — to wskazuje na to jego historya.

Rozległe zdobycze swobód ludowych w ostatnim wieku nie zależały bynajmniej od zewnętrznej potęgi mas, bo militaryzm, tak silnie rozwinięty, jest na usługach warstw panujących. Lud jednak dokonał zwycięstwa nad samolubstwem warstw posiadających, wzbudzając w ich sercach sympatye dla swojej sprawy, wytrącił im dotychczasową broń, bez której niezdolni są korzystać ze swojej materyalnej przewagi. Benjamin Kidd [1]) w swej „Społecznej ewolucyi", przypisuje to zjawisko *kilkunasto-wiekowemu oddziaływaniu religii chrześcíańskiej*, która, przeniknąwszy do serc i sumień ludzkich, sprawiła, że z żądaniem równouprawnienia warstw niższych solidaryzują się wszyscy ludzie uczciwi.

Historya nowoczesnego prawodawstwa wszystkich kulturalnych społeczeństw wykazuje szereg ustępstw stronnictw *panujących i niezaprzeczenie silniejszych* na rzecz stronnictwa, zajmującego najsłabsze stanowisko społeczne i polityczne. Gdy w Anglii zagrażał zupełnie słuszny strajk kolejowy, wielu *akcyonaryuszów* zawiadomiło zarząd, że gdyby nie uczynił zadość żądaniom pracujących, to oni swoje dywidendy będą wpłacali do kas strajkowych. A więc nie zawsze warstwa posiadająca przeciwstawia się interesom robotników! Jak świadczy przykład podany, nieraz dla słusznej sprawy bywają składane w ofierze osobiste korzyści, są ponoszone dobrowolnie straty materyalne przez samych pracodawców. Przyczyna tak niezwykłego zjawiska leży w uszlachetnieniu charakterów, w rozwoju poczucia etycznego. Gdy robotnicy przez strajki starają się zmusić warstwy kapitalistyczne do ustępstw na rzecz pracy, zwycięstwo zawsze jest po tej stronie, po której stanie opinia. A trzeba zauważyć, że nie jest to tylko opinia mas solidaryzujących się wskutek stanowego pokrewieństwa, lecz wyraz sądów wszystkich klas, nie wyłączając tych, których interesy ucierpią przez zwycięstwo robotników.

By więc wyrównać różnice klasowe i pogodzić interesy wszystkich stanów na podstawie sprawiedliwości, trzeba, nie lekceważąc bynajmniej reform ekonomiczno-społecznych, wychować człowieka i charakter jego oprzeć na wiecznych i żywotnych prawdach, aby zapobiedz przenoszeniu wad i niedostatków moralnych jednostek na pole społeczne. Przywódcy polityczni ruchu robotniczego powinni zrozumieć, że rzeczywistą podstawą społeczności jest wartość moralna jednostki, i że punktem wyjścia dla odrodzonego współżycia społecznego musi być wyrobione pojęcie o życiu ponadindywidualnem. Dr. H. Müller, w pracy p. t. „Die Klassenkampftheorie", mówi, że „nauka o walce klas jest odpowiedzialną za to zatrważające, anarchistyczne zwyrodnienie ruchu robotniczego, i jeśli kierownicy socyal-demokracyi i związków robotniczych sami uczciwie podobnej działalności nie zaprzestaną, nie zdołają nigdy opanować prądu anarchistycznego, przez siebie wywołanego. Można również przewidzieć zgubę ruchu robotniczego w tego rodzaju postępowaniu, bo raczej winien on taktykę wychowawczą, a ni-

[1]) B. Kidd. Socialevolution. Jena. G. Fischer, tłom. niem.

gdy bojową — stosować. Warstwy, przeciwstawiające się wszechwładzy klasy robotniczej, są jeszcze tak bardzo silne i liczne, że mogą w odpowiedni sposób zareagować, gdy ujrzą proletaryat, pragnący załatwienia swych pretensyi na drodze przemocy i gwałtów. Widzieliśmy już niejednokrotnie, że swoją nieprzejednaną, dyktatorską postawą, ruch robotniczy wywoływał sojusz przeciw sobie najbardziej zaciętych wrogów, a przychylni mu odwracali się od bronienia sprawy, gdzie używano poniżających i niekulturalnych środków. Powinien więc on uwzględnić te najdelikatniejsze struny ludzkiej duszy i swojem postępowaniem zdobyć sympatye otoczenia, pociągnąć szlachetniejsze pierwiastki pośród przeciwników i wzbudzić przychylne dla siebie uczucia. Ze stanowiska najbardziej objektywnego, obserwując fakty codziennego życia, mające źródło w walce klas, spostrzegamy brak wspólnej etyki między walczącymi.

Indywidualna moralność nie może być zupełnie regulatorem w stosunkach życia społecznego, a muszą tu mieć zastosowanie powszechne i bezwzględne normy etyczne, zdolne kształcić i wzmacniać charakter człowieka. Gdy człowiek przestanie się liczyć z używanymi środkami walki z przeciwnikiem, to niezadługo miarę niesumienności i gwałtu zastosuje do najbliższych swoich towarzyszów. Angielskie „trades-uniony", dopóki były nieskupione i bezsilne — nazywały przedsiębiorców „chciwymi wyzyskiwaczami", doszedłszy jednak do znacznej siły przez zjednoczenie, starały się w sposób nieuczciwy wymusić płacę, nie odpowiadającą ani możności pracy, ani jej rodzajowi, ani możności pracodawcy. A idąc dalej, znajdujemy przykłady, jak związki zawodowe w Niemczech umieszczały swoje fundusze w przedsiębiorstwach, uprawiających wyzysk robotników przy zamówieniach, oddawanych do domu (t. zw. Schwitzsystem czyli chałupnictwo).

Jak więc widzimy, teorya Marxa o proletaryzacyi mas nietylko, że się nie sprawdza, bo z pośród przemysłowego stanu robotniczego powstaje nowy stan średni, ale nawet wśród tychże towarzyszy robotniczych trzeba tępić materyalizm, chęć wyzysku i należy koniecznie wprowadzić nowy czynnik etyczny do praktycznej reformy, aby zapobiedz destrukcyi ruchu robotniczego.

Powstaje więc kwestya, jakiej teraz użyć taktyki, by oświecony i lepiej uposażony stan robotniczy uchronić od nieuczciwej chęci zysku i obojętności dla biedniejszych? Jak zyskać jego moralne i ekonomiczne siły dla dobra społecznego? Jeżeli za podstawę akcyi robotniczej kładziemy walkę klas, bez uwzględnienia czynników moralnych, to wpadamy w błędne koło. Wyzyskiwani, przez pracodawców robotnicy, stają się bowiem znowu wyzyskiwaczami, polepszywszy swoją dolę! Gdy tego rodzaju instynkta budzą się w obrębie samej sfery robotniczej, to czego spodziewać się można, gdy tacy ludzie zajmą stanowiska obywatelskie, gdzie będą decydowali o sprawach ogółu? Oczywiście, bez wyrobienia etycznego nie zdołają pokonać samolubnych pragnień, by działać tylko w celach klasowo-egoistycznych, bez uwzględnienia potrzeb innych współobywateli.

Nie szukając dalekich przyczyn, widzimy na podstawie samego rozwoju społecznego, konieczność etyki takiej, która wszędzie zabezpieczałaby uczciwość i sprawiedliwość, wznosząc się ponad walkę klas.

Foerster, wychowany w otoczeniu ludzi niewierzących, posiadając umysł głęboki i rozległy, już w wieku młodzieńczym, jako student, zajął wybitne stanowisko w obozie wolnomyślnym i został pociągnięty pracą społeczną. Długi czas poświęcał się studyom etyczno-społecznym; napisał pracę o etyce Kanta; jest znakomitym znawcą wszechświatowego ruchu robotniczego. Przez bezpośrednie zetknięcie się z życiem, doszedł do konieczności nadprzyrodzonego oparcia; drogą badań odkrył praktyczne znaczenie wiary i jej niezbędność! Po tylu doświadczeniach, twierdzi z głębokiem przekonaniem: „Nie mówcie mi, że jest możliwe etyczne prowadzenie życia bez podstaw religijnych. Przykłady przez was przytaczane ludzi bezreligijnych, nieposzlakowanych moralnie, to nie są dowody oparte na ściśle naukowem doświadczeniu, to nie są *kultury czyste*; ci ludzie przeszli lata wychowania religijnego, lub z tysiącznych źródeł, stosunków, instytucyi, literatury, czerpali natchnienie i błogosławieństwa religii i żyją nieświadomie na rachunek poglądów i wpływów, które na najwyższem piętrze swego umysłu odrzucają, lub może nawet wyśmiewają“.

„...Nie rozumiejcie mnie źle; nigdzie nie zaprzeczam, że moralność można uzasadnić przyrodniczo lub naukowo społecznie, — ale *zapał ożywczy*, zdolny pokonać samolubstwo i namiętność, może tylko z tych wyższych pobudek wypłynąć. Pod tym względem wolnomyślni łudzą się często nawet i co do siebie samych, bo właśnie w moralnym bycie żyją, nie wiedząc o tem, na koszt dziedzictwa darów religijnych. Podobnie, jak dzisiaj jeszcze otrzymujemy światło dalekich gwiazd, które już dawno pogasły, tak na etycznych przekonaniach wielu nowożytnych ludzi, błyszczy jeszcze złocista poświata wierzeń, dawno już wygasłych w ich umysłach“. Te spostrzeżenia Foerstera każdy sprawdzić może na swojem otoczeniu. Zestawiając również ruch socyal-demokratyczny z chrześcijańsko-społecznym, widzimy, że aczkolwiek pierwszy nieświadomie czerpie swoje poglądy, motywy i argumenty z zasad chrześcijańskich, to jednak w teoryach swych bardzo często jest z niemi w niezgodzie, czem się oczywiście różni od drugiego.

Cechą charakterystyczną ruchu chrześcijańsko społecznego jest wprowadzanie moralno-religijnych pierwiastków i zasad do swej teoryi i taktyki do prywatnej i publicznej działalności. Każdy ruch, każde wystąpienie wobec przeciwnika owiane być winno duchem miłości, sprawiedliwości i wyrozumienia. Chrześcijańska etyka nie zabrania karcić występku i walczyć z uciskiem pokrzywdzonych! Walczy ona wszędzie, bez żadnych ustępstw, z wszelkimi niższymi objawami życiowymi, gdzie tylko się one ukażą, tak wśród swoich jak i u przeciwników; nie dozwala ona stosować środków nieuczciwych, gdyż kłamstwo lub brutalna przemoc nie przyspieszy panowanie sprawiedliwości, przeciwnie etyka chrześcijańska kładzie nacisk na samozaparcie, sumienność i niezachwianą wierność sprawie, której przez to tryumf przyspiesza.

Pewien robotnik angielski odpowiadał w ten sposób, na pytanie tego rodzaju: „Dlaczego przystąpiłem do związku? — Bo uczy mnie on myśleć o moim bliźnim, a to jest bardzo ważna rzecz, bez której życie stałoby się jałowem i nieszczęśliwem“. Więc niekoniecznie walka przeciw pracodawcy, lecz pojęcia wyższe stają się podstawą organizacyi. I rzeczywiście, celem

organizacyi winna być raczej ochrona wspólnych interesów przeciw nieuczciwemu współzawodnictwu, wobec którego jednostka często zostaje zmuszona do postępowania przeciwnego jej najczystszym intencyom. To byłaby droga do usunięcia egoizmu klasowego, jako czynnika społecznego, a zabezpieczenie własnych interesów zostałoby związane bezpośrednio z pojęciem wyższej solidarności, co uchroni od stałego nastroju walki, która budzi antyspołeczne instynkty.

Ruch robotniczy, we własnym interesie, musi powrócić do czynników moralnych, by przyszłość swoim organizacyom zapewnić. Jedynie bowiem religia, głosząca poświęcenie i zaparcie w imię miłości bliźniego, zdolna utrzymać robotnika w wytrwałej równowadze w pracy dla sprawy organizacyjnej, która w początkach swego rozwoju raczej jest przeszkodą w zdobyciu i utrzymaniu stanowiska i chleba, aniżeli pomocą. Tutaj, krzepiąc się, pomimo znojnych wysiłków będzie postępował naprzód nie dla swojej chwilowej korzyści, lecz wytrwa dla polepszenia doli swoich następców.

Bronisław Załuski.

KORESPONDENCYE.

Paryż, w grudniu 1910 r.

Jest rzeczą powszechnie wiadomą, że Paryż, jako wielkie środowisko nauki, sztuki — wogóle życia intelektualnego, a jednocześnie jako miasto zabawy, nie mające chyba pod tym względem równego sobie w Europie, ściąga rokrocznie wielkie zastępy cudzoziemców. Spotkać tu można wszystkie narodowości, zarówno wśród stałych mieszkańców, jakoteż pośród przybyszów. A w liczbie tych ostatnich poważny zastęp stanowi młodzież, zjeżdżająca się do Paryża nietylko ze wszystkich stron Europy, ale wogóle ze świata całego na studya. Dość przejść się po tak zwanym *quartier latin*— studenckiej dzielnicy miasta, dość wpaść do tej lub owej restauracyi, gdzie studenci są stałymi bywalcami, by, czy to z posłyszanych rozmów, czy z zewnętrznego wyglądu, naocznie się o tem przekonać.

Od kilku lat nasza młodzież napływa tu coraz liczniej; śmiało rzec można, że z pośród miast poza granicami Polski i Rosyi, studyującej młodzieży polskiej obu płci (bo i studentek polek tu nie brak) jest obecnie najwięcej w Paryżu. Nie jestem w możności dać w tej mierze choć przybliżonych cyfr: zebranie statystyki napotkałoby liczne trudności oraz wymagałoby dużej pracy i długiego czasu. Natomiast postaram się dać trochę wiadomości o życiu polskiej studenteryi w Paryżu.

Nie może tu być mowy o tym typie życia koleżeńskiego, jaki się spotyka w mniejszych uniwersytetach miastach zagranicznych; niesposób, aby

wszyscy studenci polacy znali się choć z widzenia, by mieli sposobność często stykać się ze sobą: w tak wielkiem mieście, jak Paryż, przy wielkiej w niem różnorodności uczelni i przy wielkiej liczbie uczęszczających do nich polaków, jestto rzeczą niemożliwą. Życie koleżeńskie może się tylko rozwinąć bądź w prywatnych kółkach bliżej znających się ludzi, bądź w stowarzyszeniach studenckich, do których wszelako tylko część młodzieży polskiej należy.

Koło, *Spójnia*, *Filarecya* — oto trzy polskie stowarzyszenia studenckie. „*Koło*“ — organizacya z długoletnią tradycyą, grupuje młodzież o przekonaniach narodowych; jest jedynem ze stowarzyszeń posiadającem własny lokal, gdzie co pewien czas, zazwyczaj co dwa tygodnie, odbywają się zebrania, poświęcone odczytom i dyskusyi z różnych dziedzin. „Koło“ należy do Zjednoczenia młodzieży polskiej zagranicą, a ostatni zjazd związkowy (Zurich 1909) wybrał je na „Towarzystwo przewodniczące“ Zjednoczenia na rok 1910.

„*Spójnia*“ skupia tak zwaną „młodzież postępową”, powiedzmy raczej radykalną, a więc, *comme de raison*, znaczny procent jej członków stanowią „polacy mojżeszowego wyznania”. Ciekawym przyczynkiem do charakterystyki tego stowarzyszenia było ostatnie zebranie „Spójni“ z dnia 29 listopada, poświęcone sprawie „antysemityzmu postępowego“. A charakterystyczny był nie sam wynik dyskusyi, z którego się okazało, że przeciwnicy „antysemityzmu postępowego“ mają w „Spójni” większość przytłaczającą. To było do przewidzenia, choćby ze względu na jej skład. Ciekawym natomiast, na zebraniu młodzieży polskiej, był epizod wystąpienia jakiegoś litwaka (tak się sam przedstawił), proszącego o pozwolenie mówienia po rosyjsku. Odezwały się wprawdzie głosy, aby przemawiał po żydowsku, na co mówca gotów był się zgodzić, ostatecznie jednak wybrano język „urzędowy“.

Najmłodszem, bo niecały rok istniejącem, stowarzyszeniem jest „*Filarecya*“, powstała w Paryżu z takim samym programem i w tym samym czasie co i organizacye tej samej nazwy w niektórych miastach uniwersyteckich Belgii i Szwajcaryi; pierwszy okres swego żywota poświęciła szeregowi wieców, celem obeznania młodzieży ze swym programem, a które wypełniały ostre spory między zwolennikami tego programu i przedstawicielami „Spójni“.

„Filarecya” ma zrzeszyć młodzież „niepodległościowo-postępową” (nowy termin, ale nie przezemnie ukuty, bo tak się sami nazwali organizatorowie stowarzyszenia w odezwie programowej, wydanej w lutym 1910 r. około „dawnego bojowego sztandaru: niepodległości narodowej, postępu i demokracyi”.

Poza trzema wspomnianemi ugrupowaniami studenckiemi, których podałem krótką, a więc bynajmniej nie wszechstronną charakterystykę, istnieją w Paryżu dwie instytucye młodzieży polskiej o charakterze bardziej ogólnym, grupujące przeto szersze warstwy: „*Bratnia pomoc*” i „*Sokół*“.

Pierwsza, której charakter tłomaczy dostatecznie sama nazwa, funkcyonuje dobrze: dochody swe czerpie ze składek członków (w roku ubiegłym

liczyła ich około dwustu) oraz z przedstawień lub koncertów, urządzanych od czasu do czasu. W tych dniach odbyło się właśnie doroczne zebranie sprawozdawcze „Bratniej Pomocy".

„Sokół", którego celem jest „kształcenie sił cielesnych i pielęgnowanie ducha obywatelskiego", powstał przed siedmiu laty, przebył okres dużego rozwoju, ale obecnie nie może się poszczycić zbyt wielką żywotnością. Za przykładem lat ubiegłych, i w bieżącym roku Towarzystwo to zapowiedziało urządzenie obchodu Gwiazdki dla dzieci polskich w Paryżu.

Wreszcie studenci polacy, a w znacznej liczbie i studentki polki, należą do stowarzyszenia, łączącego kilka narodowości, mianowicie do *„stowarzyszenia francusko-słowiańskiego"* (Association Franco-slave), które powstało w marcu 1909 r. pod protekcyą Uniwersytetu Paryskiego.

„Stowarzyszenie francusko-słowiańskie stawia sobie cel podwojny: 1) zadzierzgnąć węzły solidarności i przyjaźni pomiędzy studentami słowianami i ich kolegami francuzami; 2) ułatwić pierwszym poznanie kultury francuskiej, a drugim znajomość świata słowiańskiego" — czytamy w § 1 ustawy Towarzystwa. Dla dopięcia tych celów, stowarzyszenie, zgodnie z § 2 ustawy, utrzymuje biuro informacyi praktycznych dla studentów słowian w Paryżu, bibliotekę i czytelnię na użytek swych członków, organizuje zebrania towarzyskie, wspólne spacery i wycieczki naukowe, odczyty, poświęcone historyi, literaturze i sztuce krajów słowiańskich; wreszcie ogłasza drukiem coroczne sprawozdanie ze swej działalności.

Z pierwszego takiego sprawozdania, wydanego w czerwcu 1910 r., dowiadujemy się, że w ubiegłym roku szkolnym stowarzyszenie francusko-słowiańskie liczyło 28 członków honorowych i 174 rzeczywistych. Oto jak się przedstawia ta liczba podług narodowości: 52 polaków, 38 francuzów, 27 czechów, 26 bulgarów, 16 rosyan, 13 serbów, 1 chorwat i 1 słowak.

Zaznaczam, że stowarzyszenie nie ma charakteru specyalnie studenckiego i że na liście jego członków spotykamy nietylko nazwiska studentów.

Z inicyatywy stowarzyszenia odbyło się w roku, który dobiega końca, kilkanaście odczytów, między innemi: p. Haumaut prof. Uniwersytetu, mówił o Serbii, p. Bérard o słowianach bałkańskich; p. Leblond (autor książki: „Polska żyjąca", która wyszła w lipcu 1910) — o Polsce współczesnej; dr. Nicaise, studyujący od dłuższego czasu polskie sprawy szkolne, o walce o język polski w Poznańskiem i t. d.

Nie wdaję się w ocenę znaczenia i działalności „Stowarzyszenia francusko-słowiańskiego": zajęłoby to zbyt wiele czasu i rozsadziłoby ramy i tak już dość długiej korespondencyi—zaznaczam tylko, że zdaje się, można mu wróżyć rozwój i powodzenie na przyszłość.

Dla dopełnienia szkicu życia polskiej młodzieży w Paryżu jeszcze słów kilka o zakładach naukowych, gdzie czerpie ona wiedzę.

A więc przedewszystkiem, Uniwersytet paryski: wydziały literacko-filozoficzny (*lettres*) i fizyko-matematyczny (*sciences*) — tworzące t. z. Sorbonę, wydział medyczny i prawny; dalej wolna szkoła nauk politycznych (*Ecole Libre des Sciences politiques*), gdzie sporo polaków uczęszcza; szkoła nauk socyalnych (*Ecole des Hautes Etudes Sociales*) — w niej spotykałem tylko kilku polaków; *Collége de France*, którego świetność za czasów Mi-

ckiewicza należy do przeszłości; wreszcie szkoły specyalne: centralna, górnictwa, dróg i mostów, w których atoli ilość miejsc dla cudzoziemców jest ograniczona i w których od czasu do czasu studyuje zaledwie po kilku polaków.

Nakoniec, wśród młodzieży polskiej mamy cały zastęp „artystów“, przybywających do Paryża w celach studyów malarstwa, rzeźby i muzyki. Z pośród nich, o ile mi wiadomo, tylko nieliczne jednostki kształcą się w szkole sztuk pięknych (*Ecole Nationale des Beaux Arts*); inni rozsiani są bądź po licznych prywatnych szkołach malarstwa, rzeźby i muzyki, bądź też nie uczęszczając do żadnej szkoły, poprzestają na pracy w licznych muzeach i we własnych „pracowniach“.

Mówiąc o życiu młodzieży polskiej w Paryżu, nie sposób pominąć milczeniem biblioteki Św. Genowefy — tej „ogrzewalni publicznej", jak ją ktoś dowcipnie nazwał. Jestto biblioteka miejska; wstęp bezpłatny i wolny dla wszystkich w rannych i popołudniowych godzinach.

Zawsze spotkać tam można zastęp polaków: mają darmo i książki i... ciepło, tak miłe po wyziębionej atmosferze niejednego z pokojów studenckich.

L. N.

SPRAWOZDANIA I KRYTYKI.

LEOPOLD FONCK T. J. „PRACA NAUKOWA". Przyczynek do metodyki studyów uniwersyteckich. Przekład J. J. Rapackiego. Wyd. „Biblioteki dzieł chrześcijańskich, zeszyt 110, 111. r. 1910 str. XIV + 314.

Książka ta ma być, jak zapowiada jej nagłówek, metodyką, t. j. całokształtem uwag i rad, jak pracować naukowo. Podtytuł jest mniej obiecujący. W nim autor zapowiada „przyczynek do metodyki", nie metodykę zupełną. Wprawdzie metodyki pracy naukowej nie można utożsamiać z metodyką studyów wyższych. Ale są to pojęcia blizkie sobie. Dlatego też nazwanie tej książki „przyczynkiem" każe nam się mieć na baczności co do ogólniejszego znaczenia dzieła.

Po bliższem zapoznaniu się z niem, widzimy, że jest ono przeznaczone dla rozpoczynających pracę naukową; daje szereg wskazówek i obraz postępowania, rozwijania się pracy naukowej. Ale wskazówki nie dla wszystkich, rzetelnie zajmujących się nauką, — nadają się, zwłaszcza dla wybredniejszych, sam zaś proces pracy naukowej, zasadniczo przedstawiony dobrze, w wielu miejscach grzeszy niewykończeniem i zbytnią popularyzacyą.

Główną wreszcie wadą tej książki jest to, że autor zbyt ciasny zakres nadał pojęciu metodyki naukowej. Uniknął mianowicie jej filozoficznego założenia. Nie przedstawił wielkich prądów w metodzie, które orzeźwiają i na nowe tory prowadzą naukę. Ani słowa nie rzekł o analizie i syntezie, o dedukcyi i indukcyi, o ich zasadniczem oraz historycznem znaczeniu, a także

zastosowaniu do poszczególnych i przeróżnych gałęzi wiedzy. Nie poruszył zagadnień podmiotowości i przedmiotowości. Nie ujął rzeczy abstrakcyjnie, lecz uzmysłowił ją, wtłoczył w formę zbyt realną, zbyt praktyczną. Wprawdzie, kto rozpoczyna pracę naukową, np. przez rozprawę doktorską, powinien o tych wszystkich nieomówionych w dziele ks. Foncka — kwestyach — wiedzieć.

Ale to za argument na obronę służyć nie może, bo nowicyusze w nauce i omówione sprawy w tem dziele również znać powinni. Wyjaśnienia poszukaćby chyba należało w specyficznych zapatrywaniach autora na metodę (pojętą filozoficznie).

Ks. Fonck główną uwagę zwraca na nauki humanistyczne, na filologię, historyę i nauki biblijne w ogólności. Filozofia jednak, a i teologia poczęści, mało tu znajdą dla siebie rzeczy cennych. Niedość na tem, historyk i filolog nie poprzestaną, sądzimy, na tej pracy, juz choćby dlatego, że opiera się ona w znacznej części na innych metodykach, między innemi na Bernheima „Lehrbuch der historischen Methode" (Lipsk 1906 r.) i de Smidta „Principes de la critique historique" (Leodium 1883 r.). Przypuszczamy więc, że pracujący naukowo będą woleli zwrócić się do pierwowzorów, a nie zadawalać się naśladownictwem. Streśćmy teraz i zaopatrzmy uwagami poszczególne rozdziały tej książki.

Na początku więc dowiadujemy się coś niecoś o seminaryach naukowych — ich rozwoju i obecnem znaczeniu, z uwzględnieniem seminaryów teologicznych. Autor omawia kwestye praktyczne takie, jak pomieszczenie i zewnętrzne urządzenie seminaryów. Bierzemy z kolei rozdz. „Ocena". Już tutaj możnaby zastosować uwagi nasze, wyrażone powyżej co do naukowego traktowania... pracy naukowej. Ks. Fonck nazbyt się posiłkuje ogólnikami, nie uwydatnia organicznego pojęcia „krytyki". Prawda, sprawiedliwość, jasność, przychylność, to są nietylko cechy ocen naukowych, one towarzyszyć powinny każdemu działaniu... moralnemu. W tym wypadku chodzi przedewszystkiem o różnorodność metod krytycznych. Na tem tle mógł autor, obdarzony zresztą erudycyą, rozwinąć kilka interesujących spostrzeżeń, np. co do subjektywizmu i objektywizmu. Zato, drobnym co prawda drukiem, przytacza nużące, rubaszne upomnienia krytyków z XVIII wieku. Zajmuje się następnie, krótko wszakże, „Opracowaniem popularnem, naukowem". Uzasadnia cel ich naogół trafnie, wymagania jego od popularyzujących są słuszne. Dalej (na str. 92) rozpoczyna się właściwy temat:—metoda pracy naukowej. Autor, widocznie, solidaryzuje się z Bernheimem w sprawie pewnego, dobrowolnego ograniczania bezpłodnych tematów. Niestety! zasadniczo, a raczej *a priori* kwestyi tej rozstrzygać nie można. Co jest bezpłodnym tematem dla jednych, absorbuje innych, zwłaszcza w dziedzinie filozofii—przykładem metafizyka — a także stosunek do teologii wielu racyonalistów. Przykłady „bezpłodnych" zagadnień przytoczone z Bernheima są źle wybrane. Autor zaś co do samej kwestyi jaśniej się nie wypowiedział. Co innego skierowanie usiłowań naszych ku objęciu pól leżących odłogiem. Na to w zasadzie zgoda! Ale i tu umiarkowany nawet utylitaryzm, proponowany przez Foncka (por. str. 102), nie może być przez uczonych brany pod uwagę. Nauka bowiem wyprzedza użyteczność. Odkrycia naukowe, dopiero po pe-

wnym, niekiedy bardzo długim, okresie czasu, uznane zostają za pożyteczne (w pospolitem znaczeniu tego słowa). Użyteczności wymagajmy przedewszystkiem i wyłącznie od prac popularnych i popularno-naukowych.

Następuje obszerny dział z kilku rozdziałami pod tytułem: „Zbieranie materyałów". Wyjaśnia więc autor znaczenie nauki o źródłach. Mówi o tem jednak dość pobieżnie, a z wszystkich jego uwag zasługuje na podkreślenie jedna: o docieraniu do pierwotnego źródła. Aby ułatwić ich szukanie, ks. F. wymienia cały szereg bibliografij, szczególniej uwzględnia teologię. Pomijam rozdział „Studya i czytelnictwo", notuję tylko, że autor powtarza z naciskiem zasadę—opierania się w pracy naukowej na oryginałach, nie na źródłach pochodnych—skróceniach, tłumaczeniach i t. p. Dużo miejsca poświęca „Wyciągom" (kollektaneom)—jestto widocznie ulubiony rozdział autora. Z kolei rzeczy omawia dwie, pierwszorzędne kwestye metodyczne: zrozumienie źródeł i ich ocena. W uwagach do tej ostatniej rozbiera sprawę historyczności cudów. Krytykuje zdanie tych, którzy nie zaprzeczają istnienia pewnych „dziwnych" faktów ale odejmują im charakter nadprzyrodzony, wbrew zeznaniom świadków. Na historyczność cudów najzupełniej się zgadzamy. Naszem zdaniem historyk, uznający istnienie faktu, który odbył się nie według praw natury, czy też wbrew rzeczywistości, musi nazwać go cudownym. Objektywny historyk nie ma prawa komentować go stosownie do swych zapatrywań filozoficznych czy powszednich na nadprzyrodzoność. Może odrzucić wiarogodność świadka, ale nie wiarogodność wiarogodnego świadka. Fakt cudowny musi opisać tak, jak był, jeśli twierdzi, że tak się odbył. Tu poruszamy tylko jedną stronę „historyczności" cudów,—dla braku miejsca nie rozwodzimy się nad drugą.

Z dalszych rozdziałów, małowartościowych zresztą, wymienię dyspozycyę materyału, wykład i wymagania szczególne, z których jeden omawia kwestyę przytoczeń (cytat) i ten najpoważniej się przedstawia.

Na końcu porusza autor sprawy praktyczne, jak korektę (daje jej wzór), umowy wydawcy z autorem i t. p. Dołącza wreszcie skorowidz. Książka ks. Foncka warta jest, ze względu na ubóstwo metodyk, przeczytania, ale zastąpić metodyki pracy naukowej—nie może; tłumaczenie nieco niestaranne.

M. Pachucki.

„DZIEJE POLSKI" illustrowane, opracował JULJAN BACZYŃSKI. Wydanie trzecie poprawione i powiększone. 2 tomy. Nakładem Karola Kozłowskiego, Zdzisława Rzepeckiego i Sp. w Poznaniu. W Warszawie M. Szczepkowski, księgarnia nakładowa 1911 r.

W piśmiennictwie naszem oddawna dawał się uczuwać brak popularnego dzieła, traktującego dzieje ojczyste na podstawie najnowszych badań historycznych, w sposób naukowy, lecz zarazem barwny, żywy a temsamem przystępny. Mieliśmy bowiem przeważnie dzieła ściśle naukowe, przeznaczone dla specyalistów w tej dziedzinie, lub też wydawnictwa dla dzieci i ludu, które ani swą treścią, ani formą, w jakiej zostały podane, ani wreszcie szatą zewnętrzną, nie odpowiadały potrzebom umysłowym i estetycznym wy-

maganiom szerokich warstw inteligencyi naszego społeczeństwa. Warunki te posiadają „Dzieje Polski” Juljana Baczyńskiego, wydane obecnie nakładem księgarni M. Szczepkowskiego. Musiały one ukazać się na czasie, czyniły widocznie zadość istotnej potrzebie, skoro rozeszły się szybko w dwóch wydaniach poznańskich.

Ludzie i wypadki przesuwają się przed naszemi oczyma w barwnym kalejdoskopie, składają się na obraz żywy i plastyczny, do czego w znacznej mierze przyczynia się forma lekka, niekiedy dyalogowana; daje to czytelnikowi możność ogarnięcia całokształtu historycznego rozwoju narodu polskiego, wyprowadzenia pewnych narzucających się wniosków i uogólnień. Nader starannie opracowane zostały dzieje czasów nam najbliższych a najmniej szerokiemu ogółowi znanych, mianowicie dziejów porozbiorowych; dział ten w powtórnem wydaniu został rozszerzony i dopełniony na podstawie najnowszych źródeł.

Jako owoc sumiennych badań i dokładnej znajomości przedmiotu, owiana wielką miłością Ojczyzny, książka p. Baczyńskiego winna przemówić do najszerszego ogółu i znaleźć się w każdym domu polskim. Wydanie piękne, ozdobione licznemi barwnemi illustracyami, pod względem zewnętrznym przedstawia się okazale i odznacza się starannem i artystycznem wykonaniem reprodukcyi arcydzieł malarstwa historycznego.

K. S.

ERYK WASMANN: Dawne i nowe badania Haeckla nad zagadnieniem o człowieku. Przekład z niemieckiego. Warszawa 1911. Nakład „Kroniki Rodzinnej”, str. 84. Cena 40 kop.

Niniejsza praca Wasmanna jest recenzyą dwóch ostatnich dzieł Haeckla z dziedziny antropologii, pomieszczoną w czasopiśmie „Stimmen aus Maria-Laach“. W olbrzymim, bo przeszło 150 prac wybitnych liczącym, dorobku naukowym uczonego jezuity niewątpliwie znalazłoby się wiele rzeczy, bardziej zasługujących na tłomaczenie i wydanie, niż leżąca przed nami broszurka. Nie zawiera ona zupełnie oryginalnych myśli Wasmanna, a jest jedynie krytyczną oceną poglądów słynnego profesora jenajskiego, któremu w ostatnich czasach z wielu naraz stron zrobiono zarzut naukowej nieuczciwości. Ze względu na ogromne rozpowszechnienie poglądów Haeckla w społeczeństwie polskiem, szczególnie zaś w sferach uczącej się młodzieży zapoznanie się z kwestyą „naukowości“ filozofa-monisty może być bardzo pożyteczne.

Spokojnie i objektywnie rozpatruje Wasmann cały szereg fałszerstw Haeckla, fałszerstw naukowych, które nie pozwalają nadal nosić mu szczytnego miana *uczonego*.

Haeckel przedewszystkiem uznaje dwie „prawdy“. Jedną naukową, w przedstawianiu której jest bezstronny, i nienaukową, w której podaje za dogmat wszystkie swoje hypotezy. Np. w „Historyi naturalnej stworzenia” przedstawia Haeckel hypotetyczny szereg przodków człowieka, zaznaczając wyraźnie, że jest to tylko domysł, że człowiek pochodzi od małpy. Tymczasem w „Zagadkach świata”, podaje on swój domysł za fakt historyczny.

Bardziej jeszcze kompromitującym Haeckla faktem jest słynna historya trzech klisz. W pierwszem wydaniu swej „Historyi naturalnej stworzenia“ na str. 242 kazał Haeckel jeden i ten sam drzeworyt odbić trzykrotnie, ażeby wykazać, jak doskonałe podobieństwo zachodzi między komórkami jajowemi człowieka, małpy i psa. Podobnież postąpił na str. 248 z trzema rysunkami (fig. 9, 10 i 11) mianowicie trzy różne zarodki — psa, kury i żółwia—kazał wyobrazić za pomocą jednej i tej samej kliszy drzeworytniczej. Fałszerstwa te stwierdzili Rütimeyer, Hise, Semper, Hanson, Bischoff, Haman i wielu innych uczonych. Sam Haeckel zmuszony był przyznać się do winy (Antropogenia 1891) dodając na swoje usprawiedliwienie, że popełnił tylko, „wielce nieopatrzną nierozwagę“. Świeżo teraz w pracy swej p. t. „Zagadnienie o człowieku, a Najprzedniejsze (Primates) Linneusza“ dopuszcza się Haeckel znowu naukowego fałszerstwa, podając Linneusza, jako swego poprzednika, który zaliczał człowieka do Naczelnych, w takiem samem jakoby znaczeniu jak Haeckel. Oprócz tego robił Haeckel tego rodzaju eksperymenta, jak skrócenie na rysunku ogona makaka o 15 kręgów, a zarodkowi ludzkiemu dodanie całych 11 kręgów, co stwierdził znowu słynny uczony Brass.

Od lat 40 ten „największy spadkobierca idei Darwina“ uprawia fałszowanie pojęć na szeroką skalę, naciąga prawdy i fakty naukowe, aby propagować swój światopogląd monistyczny, słusznie więc osądzono, że Haeckel nie jest poważnym badaczem, któryby szczerze poszukiwał prawdy. Może świeżo wydana broszura Wasmanna przyczyni się do tego, aby i nasze społeczeństwo właściwie oceniło Haeckla.

zf.

NOTATKI BIBLIOGRAFICZNE.

Książki nadesłane do redakcyi.

□ **Dr. St. Węckowski i J. Szarota.** *La France* deux parties. Pages 231+292 avec gravures à l'usage de l'enseignement secondaire. Lwów 1910. Tow. naucz. szkół wyższych. Cena I cz. 3 kor. 50 hal. II części 4 korony. E. Wende, Warszawa.

□ **Dr. St. Węckowski.** *Książka do nauki języka francuskiego.* Część II-a str. 231. Część III-a 218 str. We Lwowie Tow. Naucz. szkół wyż. Warszawa. E. Wende i S-ka R. 1910. Cena części III 3 kor. 20 hal. części II-ej 2 kor. 80 hal.

O pracach dr. Węckowskiego i Szaroty w najbliższym czasie zamieścimy obszerniejszą wzmiankę w „Dziale młodzieży“.

□ **A. Wierbickaja.** *Motyle.* Przekład z rosyjskiego. Biblioteka Dzieł Wyborowych str. 147. Cena 40 kop. Warszawa 1910.

□ **Szalom Asz,** *Miasteczko.* Część I str. 102. Część II-a 114. Warszawa, Bibl. Dzieł Wyborowych, 1910. Cena 80 kop.

□ **Karin Michaellis,** *Beata Rosa,* tłomaczyła E. R-a. Powieść, Warsza-

wa. Bibl. Dzieł Wyborow. 1910. str. 153. Cena 40 kop.

□ E. Nesbit, *Dary*. Powieść fantastyczna. Warszawa, Bibl. Dzieł Wyborowych. 1910, str. 140. Cena 40 kop.

□ Marya Rakowska, *Zarys literatury angielskiej*. Części 3. Warszawa, 1910, Bibl. Dzieł Wyborowych, str. 150+135+102. Cena 1 rb. 20 kop.

□ Józef Dzierzkowski, *Król Dziadów*. Powieść w 2 tomach z ilustracyami, str. 159+182. Warszawa, 1910. „Ciekawe Powieści", Gebethner i Wolff.

□ Adam Trojanowski, *Historya rozwoju przemysłu bawełnianego w Król. Polskiem*, Warszawa, 1910. Odbitka z Przeglądu Technicznego, str. 16 i 2 tablice.

□ Adam Wolberg, Extrait du livre J'acusse la presse polonaise, str. 16.

□ Stefania Tatar, *Za słońce*. Poezye, str. 191. Lwów 1908, księgarnia Połanieckiego. Warszawa, E. Wende.

□ Br. Szlubowski, *O Kościół w Opolu*. Warszawa, 1910. str. 284.

□ Wykłady dla Tow. Młodzieży, Poznań. Nakład księg. św. Wojciecha, str. 80. 1911 R.

□ J. Zagrzejewski, *Istota elektryczności i wnioski ogólne*. Piotrków, 1910. str. 66.

□ Maryan Dienstl, O zdobieniu okna sklepowego. Warszawa, str. 29, 1910 r.

□ Dla najbiedniejszych dzieci Warszawy, Warszawa, 1910. Druk „Polaka-Katolika".

□ Św. Wincenty à Paulo, przekład z francuskiego, Warszawa, 1911. Cena 15 kop.

□ Religia uszlachetnia, Warszawa, 1910, str. 16. „Kronika Rodzinna". Cena 3 kop.

□ Adam i Ewa, Warszawa, str. 20. „Kronika Rodzinna". Cena 3 kop.

□ Czyściec bogaczów i czyściec ubogich, Warszawa, str. 16. „Kronika Rodzinna". Cena 3 kop.

Z MIESIĄCA.

O Muzeum w Rapperswilu.

Stan Muzeum w Rapperswilu, instytucyi, mającej tak doniosłe znaczenie dla całego narodu, od dłuższego już czasu zaczął budzić poważne obawy.

Niedołężna gospodarka, brak fachowego kierunku i odpowiedniej troskliwości sprowadziły nieobliczalne wprost straty w drogich sercu polskiemu pamiątkach, dokumentach dziejowych pierwszorzędnej wagi, co w połączeniu z projektem przeniesienia bogatej biblioteki muzealnej do Lwowa, obniży ogromnie znaczenie Rapperswilu.

Założone przez hr. Platera, muzeum Rapperswilskie rozwijało się doskonale, dopóki żył założyciel i dziełem swem gorliwie się zajmował. Gdy jednak na czele tej instytucyi stanął nader skomplikowany zarząd, składający się z kilkunastu jednostek, rządzących się między sobą zasadą „wzajemnej adoracyi", gospodarka muzealna zeszła na tory nieodpowiednie. Ludzie innego pokroju, ceniący mozolną pracę zbieraczów i dbający o rozwój insty-

tucyi, niedługo popasając, ustąpić musieli, a miejsce ich zajęły figury posłuszne zarządowi, rzadko jednak stojące na wysokości zadania.

Słynna biblioteka Rapperswilska, szybko zaczęła upadać, a zarząd, miast przedsięwziąć energiczne środki zaradcze, postanowił przenieść bibliotekę do Lwowa. Zamiast odwołać się w danym wypadku do szerokich kół społeczeństwa. wybrano z pomiędzy zarządu komisyę, która zebrała się we Lwowie z udziałem pp. Lewakowskiego, Gawrońskiego, Tarnowskiego, w obecności wiceprezydenta, Tadeusza Rutowskiego, i archiwaryusza, Czołowskiego. Komisya uchwaliła przenieść bibliotekę rapperswilską do Lwowa i umieścić ją w kamienicy Sobieskiego, albo też w pozyskanej baszcie lwowskiej. Z tego powodu „Słowo Polskie" pisze:

„A więc komisya, zamiast, naradzić się nad sprawą zasadniczo, jak do tego była powołana, na pierwszem posiedzeniu radziła już z osobami interesowanemi. Widocznie plan z góry był ułożony. Rodzą się pytania: 1) Na jakiej zasadzie własność narodową wszystkich dzielnic i emigracyi, komisya chce wcielić do archiwum gminy m. Lwowa? 2) Co zaszło w stosunkach polskich dzielnic, że odrazu w grudniu 1910 roku przekreśliło się wszystkie względy, dla jakich archiwa ulokowano w Szwajcaryi, że teraz postanawiamy przenieść je do Galicyi wschodniej, najbardziej ze wszystkich dzielnic narażonej na przejścia polityczne, i z pięknego zamku, zabezpieczonego na lat sto, przynosimy te zbiory do Lwowa, na Rynek, między kamienice? 3) Jakkolwiek mogą być ciężkie warunki finansowe i administracyjne w Rapperswilu, to przecież znacznie cięższe są gminy m. Lwowa, a w każdym razie zarząd z 12 osób w Muzeum rapperswilskiem większą daje gwarancyę rozwoju i ładu, niż zarząd Galeryi miejskiej we Lwowie. 4) Na co właściwie istnieje rada muzealna, skoro najodpowiedzialniejsze jej sprawy decydowane być mają we Lwowie w poufnym konwentyklu z osobami zainteresowanemi, bez poszukiwania miejsca dla zbiorów odpowiedniejszego?".

Na pytania powyższe, p. Gawroński przesłał „Słowu Polskiemu" list, z którego między innemi, dowiadujemy się, że komisya nie była wcale powołana do narad zasadniczych z reprezentacyą miast, gdyż na podstawie dyskusyi, przeprowadzonej na posiedzeniu rady muzealnej 7-go sierpnia 1910 r., otrzymała już sformułowaną instrukcyę do traktowania z radą Lwowa i Krakowa o przeniesienie biblioteki do kraju. Na posiedzeniu tedy 21-go grudnia przedstawiła tylko dezyderaty rady muzealnej, żadnych zaś uchwał i postanowień decydujących nie powzięto.

P. Gawroński kończy wyjaśnienie swoje następującemi słowami:

„Czuję się także w obowiązku dodać, że komisya ma w swojej instrukcyi obowiązek zachowania tytułu: Biblioteka Rapperswilska i jej zupełnej odrębności: że działalność komisyi nie jest konwentyklem, ale polega na pełnomocnictwie rady muzealnej, która 11 głosami przeciw jednemu uchwaliła przenieść bibliotekę do kraju. Komisya ma oznaczone tylko dwa punkty: Lwów i Kraków, innych przeto szukać nie ma prawa, a traktować jednocześnie nie może z obu miastami. Co zaś do całości i bezpieczeństwa zbiorów, komisya przewidywała i tę pozycyę i dlatego proponowała pewne zastrzeżenia".

List p. Rawity Gawrońskiego wykazuje dosadnie, że zarząd Muzeum

w Rapperswilu uważa się za powołany do rozstrzygania zasadniczych zagadnień tyczących się własności całego narodu, że gotów się pozbyć ciężaru, jakim dla niego jest biblioteka, chociażby całość i bezpieczeństwo tego księgozbioru były zagrożone. Czyż tak być powinno? Opinia publiczna stanowczo, energicznie winna się zająć tą gospodarką emigracyjną i kres jej położyć. Tego wymaga zarówno dobro sprawy jak i godność narodowa.

zf.

Sprawa zjazdu

Przed kilkoma tygodniami kijowski „*Głos Katolicki*" wystąpił z projektem urządzenia drugiego zjazdu pisarzy katolickich w Warszawie, przyczem wyraził przekonanie, iż organizacyę tego zjazdu powinienby wziąć w swoje ręce kierownik „*Przeglądu Katolickiego*", ks. prałat Jan Gnatowski.

Zasługujący na uwagę projekt tygodnika kijowskiego nietylko nie spotkał się z entuzyazmem, ale w prasie poświęcono mu ledwie kilkuwierszowe wzmianki, a ze szpalt „*Przeglądu Katolickiego*" dowiedzieliśmy się, że ks. prałat Gnatowski nie przyjmie zaproponowanego mu mandatu, oraz że wogóle zjazd pisarzy katolickich w chwili obecnej uważa nie na czasie. Zapewne kierownik „*Przeglądu Katolickiego*" miał na myśli naprężone stosunki między wszystkiemi prawie pismami katolickiemi. Zdaje nam się jednak, iż względowi temu nie należy przypisywać zbyt wielkiego znaczenia. Zjazd podobny niekoniecznie ma być sielanką grupy wzajemnie się admirującej, bo z tego dla ogółu i sprawy pożytku niewiele. Scieranie się, choćby najgorętsze, poglądów osób, służących z oddaniem jednej i tej samej idei, nie może być żadną kompromitacyą, bo każdy rozsądny widz postronny musi w tem widzieć dowód jej żywotności w społeczeństwie. A przytem zjazd podobny i dyskusye na nim — bo zjazd bez referatów z dyskusyami nie byłby właściwie zjazdem—będzie miał kształcący wpływ na urobienie opinii publicznej, co jest bardzo ważną rzeczą. Przeciwnicy zjazdów wogóle występują z argumentem, że uchwały ich rzadko kiedy są wykonywane, i rzeczywiście tak bywa, ależ zjazd, jako taki, czy komitet urządzający, nie może przecież odpowiadać za wykonanie lub nie zapadłych na nim uchwał, które uważać jedynie należy jako wskazówki i dyrektywy dla społeczeństwa, dla opinii publicznej, w oryentowaniu się w rzeczach i sprawach rozważonych. Z tych względów, wbrew różnym pesymistycznym mniemaniom, sądzimy, że pierwszy zjazd pisarzy katolickich nie minął bez pożytku, a drugi, swemi dyskusyami i postanowieniami, również znaczne korzyści przynieść może.

Ponieważ, jak dowiadujemy się, jeden ze znanych działaczy katolickich w Warszawie podjął zamiar uskutecznienia myśli zjazdu, rzuconej przez „*Głos Katolicki*", życzyćby więc należało, aby w organizowaniu go wzorowano się na zjeździe pierwszym, to jest również dopuszczono dyskusyę, gdyż tylko wtenczas zjazd będzie posiadał to doniosłe i kształcące znaczenie dla ogółu, o jakiem mówiliśmy wyżej.

als.

Walka z samobójstwami.

Powtarzające się coraz częściej wypadki samobójstwa wśród młodzieży coraz bardziej zwracają na siebie opinię ogółu i coraz liczniej odzywają się głosy, nawołujące do zapobiegania — póki czas — tej społecznej klęsce.

Katolicki Związek Kobiet Polskich, w zrozumieniu doniosłości sprawy, podjął zamiar utworzenia specyalnej instytucyi, mającej na celu walkę z przeradzającą się w epidemię manią samobójstw.

Myśl ta znalazła dość szerokie echo w prasie polskiej, przyczem niektóre z pism wygłosiły pogląd, że: 1) „Trudno przypuszczać, by do ligi, mającej za cel walkę z samobójstwem, zgłaszali się o radę żyjący w rozterce duchowej z samymi sobą; nie zgłoszą się również owe tak liczne w ostatnich czasach umierające śmiercią samobójczą „starsze“ dzieci, których do rozpaczliwego kroku popychają stosunki w domu rodzinnym...

Przyszła liga może roztoczyć swą serdeczną pieczę jedynie nad tymi, których do rozpaczliwego kroku popchnęły warunki materyalne, a więc nędza, wynikająca z braku pracy, lub sieć nierządu, z której upadła kobieta zapragnęła wyzwolić się za jakąkolwiek cenę“.

i 2) „Utworzenie specyalnego posterunku ratowniczego nietylko nie spełniałoby swego zadania, lecz dałoby do ręki broń filutom, którzy, udając kandydatów na samobójców, wyłudzaliby jedynie datki".

Zdaniom powyższym nie możemy przyznać słuszności.

Biura porad dla zamierzających pozbawić się życia, powstałe z inicyatywy Armii Zbawienia w Anglii, wykazały skuteczność swej pracy, bo przecież większość samobójstw powstaje na tle przekonania o niemożności wywikłania się z położenia, w którem się z własnej czy nie z własnej winy znalazło, a w takich razach dobra i skuteczna rada człowieka doświadczonego znaczy wiele; niemniej chyba znaczy zaopiekowanie się podrastającem dzieckiem, zmuszonem żyć w rozpaczliwych stosunkach domowych.

Przywiązanie do życia w człowieku jest bardzo silne, więc nawet sama świadomość istnienia instytucyi, która służy radą w ciężkich chwilach życia, z wielu umysłów usuwałaby zupełnie myśl samobójstwa. Obawa przed naciąganiem różnych filutów również jest płonna, gdyż omawiana organizacya miałaby na celu przedewszystkiem pomoc moralną, a materyalną tylko w specyalnych wypadkach, nigdy zaś w formie doraźnego datku pieniężnego.

Oczywiście, szerokie pole działalności otwiera się również przy łożu tych, którzy targnęli się już na życie lecz mogą być uratowani; w tych razach praca jest łatwiejsza,—ale mybyśmy przedewszystkiem położyli nacisk na znaczenie i doniosłość działalności zapobiegawczej. Znacznie jest ona trudniejsza: od ludzi, którzy wezmą w niej udział, wymaga doskonałej znajomości życia jakoteż psychologii i pedagogiki. Tylko tacy w podobnych biurach porad mogą pracować ze skutkiem.

Inicyatywę Katolickiego Związku Kobiet Polskich uważać należy za nader szczęśliwą i tylko gorąco życzyć trzeba aby myśl podjęta—w całej rozciągłości i z całą umiejętnością była wprowadzona w życie.

*
* *

W chwili zamykania numeru, w lokalu Katolickiego Związku Kobiet Polskich już się odbyło zapowiedziane zebranie dyskusyjne przy licznym współudziale osób, interesujących się tą sprawą. Po ożywionej wymianie poglądów zebranie wybrało komisyę, której powierzono dalsze poprowadzenie podjętej inicyatywy a przedewszystkiem zwołanie następnego zebrania i przygotowanie nań odpowiednich materyałów, zwłaszcza co do biura informacyjnego o wszelkiego rodzaju instytucyach dobroczynnych i społecznych, mających na celu ułatwianie w zdobywaniu zajęć i zaradzeniu nędzy.

W doniosłej tej kwestyi redakcya „Prądu“ zabierze jeszcze głos w najbliższych numerach.

als.

PRZEGLĄD CZASOPISM.

„Prąd“ — „na rozstajnych drogach”.

W № 9-10 „Prądu“ zdaliśmy sprawę z wystąpień p. Miecznika w „*Dzienniku Powszechnym*“ przeciw „Myśli Katolickiej” i „*Polakowi Katolikowi*“.

Od tego czasu sytuacya zmieniła się o tyle, że między „*Dziennikiem Powszechnym*” a „*Polakiem Katolikiem*” nastąpiło ideowe połączenie (odezwa „Od Redakcyi № 343 „*Dz. Powsz.*”) i ostrze pióra p. Miecznika zwróciło się przeciw „*Prądowi*” (№ 8 „*Dz. Powsz.*” z r. 1911).

Wyczytawszy w prospekcie naszym na rok 1911-y zdanie:

„Szerzyć światło, krzepić ducha, budzić energię czynu, krzewić uświadomienie społeczne, dopomagać tym, co Prawdy sukają — oto program „PRĄDU”.

p. Miecznik zaraz wyciągnął wnioski, że „Prąd” „kokietuje z wolnomyślicielstwem”, bo słowa przytoczone mogłaby również—zdaniem jego—umieścić „Myśl Niepodległa”, że dalej „Prąd” stanął na „rozstajnej drodze” bo w prospekcie nie został wymieniony przymiotnik „katolicki” — słowem „*Prąd*” niby jest katolicki, a nim nie jest.

Wielce by nas ten sąd o „Prądzie” zmartwił, gdyby nie następujące fakty:

„*Myśl Katolicka*”—ta „strażnica czystości myśli katolickiej” (X. Charszewski, № 48 Myśl. Kat. str. 475) według „*Dziennika Powszechnego*” (№ 304) jest tylko częstochowskiem sekciarskiem pisemkiem.

„*Polak Katolik*”, „jedyny—jak sam zapewnia—dziennik antysemicki, *katolicki* (podkr. nasze) i narodowy” w № 320 „*Dziennika Powszechnego*”, (swego obecnego przyjaciela) został określony jako pismo, „czyniące sobie w Polsce z naszej świętej, wielkiej i potężnej wiary narzędzie do obniżania powagi Kościoła, do ubożenia jego Boskiej treści”.

Ze szpalt „*Przeglądu Katolickiego*” (№ 49, str. 978) dowiedzieliśmy się, że „*Dziennik Powszechny*” reklamuje pisma jaskrawo antykatolickie, więc jego katolicyzm jest też jakoś niezbyt konsekwentny, tembardziej, iż jak się przyznał p. Miecznik w artykule „Obskuranci” (№ 320 „Dz. Powsz.”) „*Polak-Katolik*” uważa współredaktorów „*Dziennika Powszechnego*” za pół i ćwierć katolików.

W „*Myśli Katolickiej*” (№ 49) wyczytaliśmy, iż program „*Roli*”, który według autora jest katolicki, gdyż na str. 14 głosi, „że światopogląd bezwzględnie najszerszy daje człowiekowi nie żadna wolnomyślność ani żaden liberalizujący katolicyzm lecz wyłącznie rozumna katolicka ortodoksya”, zawiera amerykanizm, modernizm i t. d.

Nie dość na tem, w № 29-ym tejże „*Myśli*” zostaliśmy poinformowani, że obecny „*Przegląd Katolicki*”, redagowany przez wybitnego pisarza katolickiego ks. prał. J. Gnatowskiego, to nie jest dawny dobry „*Przegląd*” z czasów ś. p. ks. Szaniawskiego, który „stojąc ściśle na gruncie katolickim, czuł doskonale nurtujące w naszem społeczeństwie, a nawet i wśród kapłanów, prądy liberalne”.

Słowem w naszej prasie z pism wybitniejszych byłby niezakwestyonowany jedynie katolicyzm „Ateneum kapłańskiego”, wychodzącego pod kierunkiem profesorów Włocławskiego Seminaryum Duchownego, gdyby nie głośne podejrzenia o sprzyjanie różnym błędom, wypowiedziane w „*Myśli Katolickiej*” (№ 34) przeciw ks. dr. Antoniemu Szymańskiemu, redaktorowi „*Ateneum*”.

A więc koniec końców nic nam nie pozostaje, jak pogodzić się z losem, że w Królestwie Polskiem są tylko pisma nadkatolickie, podkatolickie, półkatolickie, ćwierć katolickie, źle katolickie i podejrzanie katolickie, a katolickich niema wcale. Tak wynika z opinii pism katolickich o sobie.

„*Prąd*” jest więc w towarzystwie, i to licznem.

Wobec samorządu.

Od paru miesięcy sprawa żydowska znów stała się aktualną w naszej prasie. Przyczyniły się do tego z jednej strony refleksye pism niektórych na tle wypadków tak zwanego okresu rewolucyjnego z przed lat pięciu, a z drugiej—wniesiony do Dumy projekt ustawy samorządu miejskiego w Królestwie Polskiem z ograniczeniami dla żydów.

Obecna dyskusya w sprawie żydowskiej tem się różni od dawniejszych podobnych rozważań i polemik, że część prasy tak zwanej postępowej zajęła krytyczne tym razem stanowisko wobec żydów. Jest to objaw w naszych stosunkach do pewnego stopnia nowy: jednych on zdziwił, innych przeraził lub zmartwił—ale nie o to w tej chwili nam chodzi, w jakim stopniu jest dla kogo przyjemne czy niemiłe, przewidywane czy niespodziewane to zjawisko, ochrzczone „odżydzaniem postępu”. Stwierdzamy sam fakt zwrotu opinii w tym odłamie społeczeństwa, któremu ideologia partyjna nie pozwalała dotychczas trzeźwo patrzeć na rzeczy i dopiero smutne doświadczenia lat ostatnich oraz widmo dostania się miast naszych w niepodzielne

posiadanie żywiołu semickiego, odsłoniło im rzeczywistość w swej istotnej postaci. Zasługuje w tej mierze na uwagę głos organu Aleksandra Świętochowskiego, gdzie znajdujemy następujące uwagi („*Kultura Polska*“ Nr. 12 z r. 1910).

...„nam przypadła smutna i trudna rola stosowania zasad normalnych do stosunków w najwyższym stopniu nienormalnych. Rosya przekopała kanał od Cesarstwa do Królestwa i spuściła nim do nas znaczną część swej ludności żydowskiej, która zgromadziła się tu w ilości, przewyższającej znacznie naszą wytrzymałość narodową i zdolność asymilacyjną. W całej Europie niema tak wielkiej i tak zgęszczonej masy żydowskiej. W tej masie zaś jest ogromny procent żywiołu nietylko odmiennego, ale pragnącego pozostać odmiennym. Dodać trzeba, że społeczeństwo miejscowe, pozbawione samodzielności i właściwych organów asymilacyjnych, nie może nawet myśleć o wchłonięciu i przetworzeniu tego napływu, który ciągle się zwiększa i w niektórych dziedzinach życia grozi zupełnym zalewem. Chodzi więc o rozstrzygnięcie kwestyi nie teoretycznej w warunkach zwykłych, ale praktycznej—w wyjątkowych. To też, gdy demokraci postępowi żądają zupełnego równouprawnienia wszystkich mieszkańców kraju (np. w samorządzie miejskim), przeciwnicy, rozwijając to żądanie do najdalszych konsekwencyi życiowych i przedstawiając możliwość przewagi lub wyłączność żydów w ciałach przedstawicielskich, doprowadzają samą zasadę do absurdu. Wytworzyło się położenie podobne do tego, jak gdyby ktoś żołnierzom, stojącym na polu bitwy, przypomniał przykazanie: nie zabijaj. Odpowiedzieliby oni niezawodnie: i owszem, my nie chcemy zabijać ale niech z przeciwnej strony do nas nie strzelają. Dopóki tedy istnieć będzie t. zw. „granica osiedlenia“ i dopóki z ogromnego państwa żydzi spędzani będą do małego kraiku, dopóty w najbardziej zdemokratyzowanych umysłach pion równouprawnienia odchylać się będzie od swej prostopadłej linii w stronę ograniczeń.“

W tej sprawie w listopadowym numerze „*Przeglądu narodowego*” czytamy:

...„jasna jest nietylko konieczność zastosowania do sprawy żydowskiej w samorządzie kryteryum interesu narodowego, ale z drugiej strony niezależnie od tego jasną jest niemożliwość stosowania tutaj zasady równości obywatelskiej. Demokratyczny postulat głosowania powszechnego warstw i narodowości przy wyborach do organów zwierzchniej władzy państwowej.... jest absurdem ekonomicznym i politycznym w zastosowaniu do samorządu miejskiego, w którym mogłaby mieć sens ludność żydowska, obca nam duchowo, ale zdawna tu osiadła, związana z nami szeregiem stałych i trwałych interesów wspólnych, żyjąca z nas i nie wybierająca się gdzieś z powrotem po wyciśnieniu—między innemi przy pomocy odpowiedniego kierownictwa samorządem—wszystkiego co się da.”

...„lewica rosyjska oburza się na myśl o wątpliwościach, jakie mogliby mieć Polacy w sprawie równouprawnienia żydów w samorządzie. Sądzę, że odpowiedź tu jest prosta: Znieście granicę osiedlenia, a wtedy dopiero będzie można mówić o równouprawnieniu Żydów. Na teraz dość, że ich

wszystkich mamy u siebie. Dobrze byłoby wpakować komuś szkodliwą dla siebie masę ludności, pod każdym względem obcej i wymagać potem ustąpienia jej praw gospodarzy. Komu jak komu, ale Rosyanom, dopóki nie zdołają znieść granicy osiedlenia, oburzać się na nas nie wolno."

Referując dziś te dwa głosy pism poważnych, stojących na różnych krańcach poglądów społeczno politycznych, poprzestajemy tymczasem na prostem tylko ich zarejestrowaniu, gdyż w najbliższej przyszłości „*Prąd*" wszechstronnemu rozpatrzeniu sprawy żydowskiej poświęci szereg artykułów.

WOLNA TRYBUNA.

W sprawie artykułu kol. Fedorowicza „Ruch religijno-etyczny wśród młodzieży".

W sierpniowym numerze „Prądu" ukazał się artykuł p. Z. Fedorowicza p. t. „Ruch religijno-etyczny wśród młodzieży", w którym autor, po ogólnym wstępie, przechodzi pokolei katolickie towarzystwa akademickie w Galicyi i z nich na pierwszem miejscu stawia Akademicką Sodalicyę Maryańską w Krakowie.

Cenimy sobie bardzo, że organ tak poważny jak „Prąd" uznaje nasze życie i istnienie, zmuszeni jesteśmy jednak prosić Szanowną Redakcyę o miejsce dla sprostowania kilku omyłek, które autor wymienionego artykułu popełnił, zbadawszy istotny stan rzeczy—niestety—bardzo pobieżnie.

Szkoda wielka, że p. Fedorowicz zabrał się do krytykowania takiej instytucyi, jak Sodalicya Maryańska—instytucyi, istniejącej od lat 300 przeszło, na podstawie jednego czy dwu sprawozdań. Gdyby się był zapoznał z ustawami, nie byłby pisał, że Sodalicya jest rodzajem bractwa religijnego (nie podając zresztą definicyi ani bractwa ani Sodalicyi), że Sekcya Eucharystyczna i apologetyczna ten właśnie charakter bractwa jej nadają i t. d. To wszystko stanowi pierwszą część omawianego ustępu i artykułu p. Fedorowicza.

Zanim przejdziemy do części drugiej, wykazującej braki i wady Sodalicyi, pragniemy poświęcić słów parę wyjaśnieniu tych twierdzeń.

Przedewszystkiem: Sodalicya nie jest ani bractwem, ani rodzajem bractwa. Sodalicya jest stowarzyszeniem religijnem ludzi pewnego stanu, wieku lub zawodu — i tem właśnie różni się zasadniczo i istotnie od bractwa, przyjmującego w swe szeregi wszystkich, bez różnicy wieku, stanu i zawodu — jest stowarzyszeniem *par excellence* również społecznem, dążącem do religijnego i moralnego odrodzenia ducha społeczeństwa, przez odrodzenie danego objętego nią w pewnym konkretnym wypadku stanu lub zawodu. Bractwo ma pewne przepisane modlitwy obowiązujące jego członków — to

nie istnieje w Sodalicyi. Ideą łączącą sodalisów jest cześć i miłość N. P. Maryi: każdy ją wyraża jak czuje, chce i umie — o szablonach więc i formułkach mowy niema.

Oto czem jest Sodalicya — oto na czem polega jej żywotność niesłychana, niestarzejąca się, mimo trzech z górą wieków istnienia. Oto czem to dzieło naprawdę nie ludzkie lecz Boże, które przetrwało burze i walki nie zliczone, i dziś doczekało się wszędzie i w Polsce czasów swego renesansu.

W ten tkwi, jak zauważyliśmy, zasadniczy błąd p. Fedorowicza, wypływający z nieznajomości istoty Sodalicyi i jej dziejów.

Sodalicya tak pojęta, jak powyżej przedstawiliśmy, nie widzi z tego powodu w istnieniu sekcyi: eucharystycznej i apologetycznej znamion, nadających jej charakter bractwa, lecz sekcye religijno-społeczne, z których płynie w jej szeregi odrodzenie dusz i serc, odrodzenie religijno etyczne młodzieży, zarówno zgrupowanej w jej szeregach, jak tej, na którą ona wpływa przez stosunki uniwersyteckie, koleżeńskie lub towarzyskie.

Pisze p. Fedorowicz: „Na czele Sodalicyi stoi Moderator, ksiądz Jezuita, mający do pomocy zarząd, wybrany zpośród sodalistów“. Bez kwestyi ma słuszność, ale zbadajmy, czy okoliczność ta, może jako ukryty zarzut, nie jest najnaturalniejszą i najracyonalniejszą rzeczą w świecie? Kto się trochę zaznajomił z dziejami Sodalicyi wogóle, ten wie, że wyszła ona z Towarzystwa Jezusowego, że ono dawszy jej początek, w dalszym ciągu stale się nią zajmuje, osobliwie w miejscowościach, gdzie Towarzystwo Jezusowe jest obecne. Cóż więc dziwnego, że na czele Akademickiej Sodalicyi musi stać nie kto inny jeno Jezuita? Przez to, że główne kierownictwo spoczywa w rękach kapłana, ma Sodalicya zapewniony zawsze wiernie chrześcijański kierunek i rozwój w duchu prawdziwie katolickim. Moderator jest kierownikiem oraz doradcą zarządu, wybranego zpośród sodalisów. Moderator nadaje kierunek i ma tchnąć ducha; wykonanie zaś całe, całe działanie bezpośrednie, to już rzecz zarządu powołanego przez ogólne zgromadzenie. Chociaż więc naczelne kierownictwo dzierży kapłan, odpowiedzialności prefekta i wydziału, za to czy i jak się pracuje, wcale to nie zmniejsza. Stosunek Moderatora do Sodalicyi polega na wzajemnem zaufaniu i rozumieniu, pochodzącem z umiłowania tych samych ideałów. Mamy wrażenie, że kwestya ta nieco mglisto się przedstawia w artykule p. Fedorowicza — dla tego rozjaśniamy ją.

Tyle co do części I-szej. Przejdźmy do wad, które autor wytyka. Na jakiej podstawie twierdzi p. Fedorowicz, że w Sodalicyi brak zrozumienia samodzielności, że zabija się indywidualność? Czem uzasadnia zarzut „wodzenia ludzi na pasku, powodującem niedołęstwo”—i drugi zarzut, „że strona apostołowania idei katolickiej nie jest dość uwzględniona“?

Gdyby zarzuty te były słuszne, gdyby istotnie w Sodalicyi zabijano samodzielność i indywidualność — nie posiadalibyśmy chyba w jej łonie tak różnorodnych sekcyi, wymagających od swych członków tych właśnie właściwości i dających do ich rozwinięcia szerokie pole.

Przedewszystkiem w sekcyach jest miejsce na rozwinięcie samodzielności: tutaj sodalisi ćwiczą się w dyskusyi, tu pracują nad młodzieżą innego wieku lub zawodu. Samodzielność i odpowiedzialność, oto pierwsze warun-

ki istnienia i rozwoju sekcyi. A sekcye, dzięki Bogu, rozwijają się nader pomyślnie, działając w rzeczywistości—nie na papierze tylko, więc chyba zarzut „wodzenia ludzi na pasku“ musimy uważać za gołosłowny?!

Podobnie ma się sprawa z „ideą apostołowania” wśród młodzieży: może być, że nie posiada ona osobnej sekcyi, jednakowoż nasze wystąpienia publiczne na wiecach i przykład w życiu prywatnem muszą w tym kierunku oddziaływać, skoro szeregi nasze wciąż się zwiększają.

Oto krótkie sprostowanie faktów, mylnie podanych przez p. Fedorowicza, ażeby jednak to sprostowanie szczegółowo udowodnić, w najbliższej przyszłości prosić będziemy o trochę miejsca w „Prądzie“ na umieszczenie kilku dat i faktów z naszego świeżo wyszłego sprawozdania za rok szkolny 1909/10: one przedstawią działalność Sodalicyi wymowniej, niż wyłączne prostowanie omyłek. Każdemu, pragnącemu się rzeczowo poinformować o Sodalicyi, stoi otworem, prócz naszych sprawozdań, „Sodalis Marianus“, dwumiesięczny organ ogólno-sodalicyjny i księgi ustaw zasadniczych Sodalicyi.

Szkoda wielka, że p. Fedorowicz nie poszedł tą drogą, że nie szukał materyału w wyż wymienionych źródłach, nie byłby prawdopodobnie napisał tego o Sodalicyi, co napisał. Krytyka jego, zdradzająca nieznajomość istotnego stanu rzeczy, celu swego nie spełnia, t. j. nie może sprowadzić usunięcia niedomagań, zawinia wobec czytelników, informując ich błędnie, grzeszy ciężko niesprawiedliwością względem instytucyi, stojącej jawnie, w dobie obecnej, wśród młodzieży na gruncie wybitnie katolickim.

Stanisław Grabiński.
Prefekt Sodalicyi Akademickiej w Krakowie.

ODPOWIEDŹ.

W odpowiedzi na replikę p. Grabińskiego w sprawie mego artykułu zwrócę uwagę przedewszystkiem na ustęp końcowy.

Uczyniono mi zarzut bardzo ciężki, iż zgrzeszyłem względem Sodalicyi niesprawiedliwością. „Errare humanum est“, chętnie więc wyznałbym swój błąd, gdyby dowodzenia p. Grabińskiego rzeczywiście wykazały błędność tego, co napisałem. Tymczasem słowa jego w znacznej części potwierdzają moją opinię, którą wygłosiłem w ostatnim moim artykule.

Pierwsza część repliki zupełnie jest dla mnie niezrozumiała. Gdybym nawet niesłusznie nazwał Sodalicyę bractwem, mającem szczególną cześć dla N. M. P. sądzę, iż krzywdy wzmiankowanemu stowarzyszeniu nie byłbym wyrządził.

P. Grabiński chyba ani na chwilę nie przypuszczał, iż chciałem wmówić w Sodalicyę, że „ma ona pewne przepisane modlitwy, obowiązujące jej członków“ lub, że do Sodalicyi Akademickiej należą osoby wszelkiego wieku, obu płci, wszystkich zawodów. Oczywistem jest, iż, nazywając Sodalicyę „rodzajem bractwa“ chciałem podkreślić jej charakter religijno-kościelny, w czem nie rozminąłem się z prawdą, gdyż p. Grabiński sam to w replice zaznacza.

Z tego, iż Sodalicya ma charakter religijny, czy bractwa nie robiłem zupełnie zarzutu. Będąc sam katolikiem, uznaję, iż stowarzyszenia, mające na celu rozwój wewnętrzny uczuć religijnych, oraz praktyki religijne, są konieczne i bardzo pożyteczne.

Zwróciłem uwagę na tę okoliczność z jednej strony ze względu na charakter informacyjny mego artykułu, z drugiej dlatego, żeby zaznaczyć, iż tylko część społeczno-ideową poddaję krytyce.

Sądzę więc, że mój „zasadniczy błąd“ wcale nie istnieje. Nad drugą częścią repliki muszę się rozpisać nieco szerzej.

Zupełnie bezpodstawnie w informacyi mojej, iż na czele Sodalicyi stoi Moderator, upatruje p. Grabiński ukryty zarzut. Uważam, że na czele organizacyi kościelnej, prowadzącej pracę religijną powinien stać kapłan. Jednak w pracy społecznej o charakterze świeckim młodzież może pracować samodzielnie i w tej właśnie sferze wpływ Moderatora, *który nadaje kierunek i ducha*, aczkolwiek może być bardzo cenny nie jest wszakże konieczny i w wielu wypadkach wywołuje „prowadzenie na pasku“. Mając tak dogodne do pracy warunki, jak w Galicyi, mogła Sodalicya wziąć udział szeroki w pracy społecznej, mogła pracować na niwie robotniczej, oświatowej, wśród młodzieży szkolnej, na niwie literackiej i dziennikarskiej mogła jednem słowem zrobić przynajmniej tyle, ile robią w podobnych warunkach stowarzyszenia „postępowe“. i „bezwyznaniowe“. Wtenczas idea apostolstwa byłaby dostatecznie uwzględniona. P. Grabiński podkreśla tę okoliczność, iż Sodalicya jest instytucyą *niesłychanie żywotną*, niestarzejącą się mimo trzech z górą wieków istnienia. Należy jednak zaznaczyć, że żywotność instytucyi nie tyle mierzy się czasem istnienia, ile rezultatami i przejawami pozytywnej, twórczej pracy. Widząc obecny antyreligijny nastrój akademickiej młodzieży, a minimalny wpływ Sodalicyi na życie szerszych warstw akademickich, nasuwa się myśl, iż obecna Sodalicya w tej dziedzinie pracy, o którą nam przedewszystkiem chodzi, mogłaby być jeszcze żywotniejsza. Uczestniczenie w wiecach i przykład życia osobistego jest niewątpliwie co do pierwszej rzeczy czasem, co do drugiej zawsze rzeczą chwalebną. Ponieważ jednak praca Sodalicyi do tego (w połączeniu z niezbyt wybitną pracą sekcyi) się ogranicza sądzę więc, że wziąwszy pod uwagę 300 lat istnienia Solidacyi i dogodne warunki miałem prawo powiedzieć, że „praca apostolska zamało jest uwzględniona“.

Jeszcze słówko: w końcowem zdaniu swego wystąpienia p. S. Grabiński zdaje się być mniemania, że Sodalicya ma szczególniejszą racyę do względów krytyki, bo w dobie obecnej stoi na gruncie wybitnie katolickim. Dziwna rzecz jak niektóre instytucye i ludzie uważają, iż czynią łaskę Kościołowi, stojąc w czasach dzisiejszych na gruncie katolickim. Uważałem za konieczne powiedzieć tę uwagę, albowiem coraz częściej spotykamy się teraz z tym objawem, że ludzie spełnianie obowiązku uważają sobie za specyalną zasługę.

Na zakończenie przytaczam końcowy ustęp mej wzmianki o Sodalicyi.

„Raz jeszcze zaznaczam, że braki wyżej wspomniane są możliwe do usunięcia, a tchnięcie świeżego, szczerze demokratycznego ducha w nieco

przestarzałą formę Sodalicyi, byłoby z ogromnym pożytkiem jej samej i całego kraju, gdzie rąk do pracy samodzielnej, ciężkiej i ofiarnej brak".

Z. Fedorowicz.

Głosy Czytelników.

Z powodu broszury Wasmanna

„Trzy odczyty o ewolucyi".

W 44 numerze tygodnika „Wszechświat", na str. 702, jest umieszczona krytyka broszury p. t. „Trzy odczyty o ewolucyi" E. Wasmanna, z Biblioteki „Prądu", na którą chcemy dać kilka słów odpowiedzi sz. krytykowi.

Albo krytyk rzeczywiście nie zrozumiał odczytów Wasmanna, jak sam przyznaje się, mówiąc o krytyce prawa biogenetycznego przez słynnego jezuitę,—albo raczej, co prawdopodobniejsze, krytyka jego jest jednostronną. Pan Sosnowski, krytykując odczyty Wasmanna, winien był pamiętać o tem, że były one odpowiedzią na wystąpienie Haeckla, który zarzucał Wasmannowi, iż, broniąc teoryi ewolucyi, nie jest konsekwentny pozostając katolikiem i do tego jeszcze zakonnikiem, gdyż ewolucya nie da się pogodzić z dogmatami katolicyzmu.

Zarzuty, uczynione E. Wasmannowi,—znakomitemu przyrodnikowi i zarazem filozofowi, przez krytyka z „Wszechświata", są zbyt poważne, żeby je można pominąć milczeniem,—wskazują one bowiem, jak u nas niektórzy krytycy są stronni względem dzieł i broszur katolickich.

I tak, p. Sosnowski zaznacza, „że odczyty E. Wasmanna są nadzwyczaj ciekawe z tego względu, bo wykazują naocznie, jak przekonania z góry powzięte mogą przytłumić zdolność logicznego rozumowania w człowieku, kiedyindziej myślącym całkiem poprawnie". Jakież to zjadliwe! Wasmann nietylko zna przyrodę, ale zna i śledzi dotąd ruch filozoficzny,—tymczasem szanowny krytyk zdaje się zapomniał o tem, że teorya ewolucyi w odczytach przyrodnika-jezuity była rozbierana z punktu przyrodniczo-filozoficznego.

Pierwszy odczyt, według szanownego krytyka, „zwrotów rażących nie zawiera". Zwraca on jedynie uwagę na jego zakończenie, pisząc, że „na końcu odczytu znajdziemy zdanie, że Pismo św. nie jest podręcznikiem nauk przyrodniczych w dzisiejszem znaczeniu, więc też uczeni z XX wieku nie mogą szukać w niem informacyi z dziedziny zoologii". Ależ, takie zakończenie tego rozdziału jest logiczne i konieczne, gdyż E. Wasmann w owych odczytach miał za zadanie bronić ewolucyi i zarazem wykazać, że ona nie stoi w sprzeczności z nauką Kościoła, co przeciwnicy Wasmanna, np. Haeckel, twierdzą od X lat. O tem można się było dowiedzieć ze wstępu. Dalej, krytyk powiada, „że w drugim odczycie spotykamy rozdział o teistycznej i ate-

istycznej teoryi rozwoju, który całkiem z treścią książeczki organicznej nie tworzy całości". Należy wobec tego zaznaczyć, że przyrodnicy nietylko podają nam suche fakta z doświadczenia, ale często wkraczają w dziedzinę filozofii, chcąc wytłomaczyć za pomocą jej to, czego doświadczenie dać im nie mogło. Nadto, wielu z przyrodników zgóry przyjmuje tłomaczenie materyalistyczne wszechświata, stąd mamy pogląd ateistyczny. Dlatego też E. Wasmann, na str. 26 swej broszury powiada, „że światopoglądu nie opierającego się na jakiemkolwiek założeniu niema i być nie może". — Zarzucają często teistycznym zapatrywaniom, że mają pewne założenia, dotyczące Stwórcy osobowego, stworzenia świata i t. d. Ale wszak każdy światopogląd posiada jakieś założenia; posiada je zatem i monizm, który nietylko przypuszcza, że istnienie materyi jest odwieczne, ale wyobraża sobie wiele rzeczy, których dowieść niepodobna i które z faktami chyba mało mają wspólnego. Więc jest pogląd na świat teistyczny i ateistyczny,—a walka między tymi poglądami nie od dziś trwa; szanowny krytyk zaś dziwi się tej różnicy, jak by nigdy o niej nie słyszał. Wszak historya filozofii o tem bardzo często wspomina. Wobec tego i rozdział ten wiąże się bardzo dobrze z poprzednim i tworzy całość organiczną, trzeba tylko stanąć na stanowisku Wasmanna—mianowicie, że to są odczyty przyrodniczo-filozoficzne, a nie suche wykłady o mrówkach według osobistych spostrzeżeń.

Z najszerszą krytyką spotkał się rozdział trzeci: „zastosowanie teoryi pochodzenia do człowieka", Dlaczego? Skoro uznajemy za słuszną, tak rozumuje krytyk, teoryę ewolucyi w zastosowaniu do kilkuset tysięcy gatunków zwierząt i roślin, więc trzeba ją rozciągnąć i do człowieka. Tymczasem E. Wasmann tego nie zrobił. Co więcej, nawet ów jezuita-przyrodnik stara się wykazać, że człowieka trzeba wyłączyć z tej drabiny hipotezy ewolucyi. Z tego powodu p. Sosnowski zarzuca Wasmannowi nielogiczność. Tymczasem E. Wasmann jest zupełnie w porządku, bo przytacza kilkanaście dowodów, wykazujących niemożebność, przynajmniej przy obecnym stanie nauki, pochodzenia descendencyjnego człowieka. Krytyk zaś zbywa te dowody „półśmieszkami". Inaczej bowiem nie można nazwać zdań przytaczanych przez p. Sosnowskiego w tej kwestyi, zdań powyrywanych z dziełka Wasmanna, gdzie mają zupełnie inne znaczenie. Np. p. Sosnowski drwinami zbywa twierdzenie Wasmanna, że „człowiek niezaprzeczenie posiada w sobie pierwiastek boski i dąży do wiecznego przeznaczenia", kładąc nacisk na słowo: „niezaprzeczenie", które według niego tak lubią teologowie. Argument bardzo słaby! Bo mało okazać niezadowolenie, trzeba je poprzeć argumentem, a chcąc być logicznym przy zastanawianiu się nad pochodzeniem descendencyjnem człowieka, musimy brać w rachubę i jego psychikę, inaczej z góry poweźmie się, że człowiek pochodzi od małpy, i kwita. I tu właśnie rozstrzyga psychologia i teologia, uwzględniając obok właściwości, że tak się wyrażę, zoologicznych i anatomicznych, człowieka i psychikę jego.

Co zaś do krytyki p. Sosnowskiego dowodów Wasmanna — jest ona gołosłowną—i krytyk mógłby do siebie zastosować słowa, że szuka „usilnie dziury na całem", któremi to słowami charakteryzuje Wasmanna. Prawda, że szkielet goryla różni się od szkieletu szympansa,—to inna rzecz, Wasmannowi zaś chodzi o różnicę zasadniczą pomiędzy szkieletem małp a człowie-

ka i tę uzasadnił. Dalej powiada p. Sosnowski, że to co Wasmann pisze o prawie biogenetycznem, jest dla niego niezrozumiałe, a właściwie zrozumiałe, że prawo biogenetyczne ma zastosowanie tylko tam, gdzie to będzie wygodnie dla Wasmanna. Tymczasem E. Wasmann twierdzi na str. 58, „że prawa biogenetycznego nie można uznać w całej jego rozciągłości, a więc nie można go stosować bez zastrzeżeń i do człowieka, aby tym sposobem dowieść jego pochodzenia od zwierząt". I to słynny jezuita w ostatnim odczycie wykazał jasno.

Na tem kończymy odpowiedź naszą na krytykę p. Sosnowskiego broszury E. Wasmanna: „Trzy odczyty o ewolucyi"—z prośbą, żeby sz. krytyk bezstronniej „odróżniał plewy od ziarna", (są to jego słowa o książeczce Wasmanna), których to plew niesłusznie tyle doszukał się w pracy Wasmanna.

Ks. dr. J. Ciesielski.

PSALM TĘSKNOTY

Pannie Zofii Ol. poświęcam.

...Wznieść w gwiazdy Polskę
na złotych puklerzach!...
BALLADY TATRZAŃSKIE.

...Polsko, Ojczyzno moja, ugorów sza-
[rzyzną,
W dal jesienną, zamgloną ciągnących
[się smętna,
Ty, co jesteś w łzy bólu krwawego
[tak żyzną,
Co wyczuwasz magicznie szlachetnych
[serc tętna,
Ty, co oczy zesłańców ćmisz, nim
[łzami bryzną,
Gdy pożera ich żądza powrotu na-
[miętna,
Ty, co kryjesz w kurhanach dziejową
[baśń złotą,
Polsko, Ty jesteś jedną wcieloną tę-
[sknotą!...

W męce ducha tajemnie mi to obja-
[wiono,
Gdy, jak czarny, żałobny pień wierzby
[spróchniałej,
Z krwawym jękiem runąłem, ziemio,
[na twe łono!..
W dali w brudnej mgle nagie topole
[czerniały...
Takąś mi się sierocą zdała, opuszczoną,
Że wzruszyłabyś serca najtwardsze,
[ze skały,
Drzew czarnemi, nagiemi gałęziami
[chwiejna,
Melancholijna, tęskna, jakby bezna-
[dziejna...

Jednak coś mi szeptało, że z tej
[krwawej męki,
Rycerze Boży, mamy puklerze kuć
[złote,
Na których, w purpurowych róż przy-
[braną pęki,
Wzniesiemy kiedyś w gwiazdy tę
[Polskę—tęsknotę,
Zdusiwszy w duszach naszych zło,
[padalcze lęki,
Że Bóg Chrobrych złocistą błyskawi-
[cą, grzmotem
Rozewrze sezam oczu tej śpiącej kró-
[lewny,
Jej gołębią białością, Jej anielstwem
[rzewny...

Wacław Wolski.



INFORMACYE.

— Zrównanie w prawach. Ministeryum spraw wewnętrznych zawiadomiło zarządy gubernialne, że osoby, które zdały egzamin na ucznia aptekarskiego, mają prawo, na równi z tymi, którzy ukończyli 4 klasy gimnazyum, wstępować do szkół felczerskich, akuszeryjnych, oraz szkół lekarskiej, gimnastyki i masażu.

— Egzaminy na nauczycieli. Ministeryum oświaty wyjaśniło, że osoby. które ukończyły kurs w szkołach powiatowych lub miejskich (ustawy z roku 1872) i pragnące otrzymać patent nauczyciela domowego lub szkoły powiatowej mogą być zwolnione od egzaminów z przedmiotów ogólnych i pomocniczych, ulga ta jednak stosowana być może tylko w tym wypadku, jeżeli od chwili ukończenia wyżej wspomnianych szkół przez kandydatów na nauczycieli nie upłynęło więcej, niż lat pięć.

W przeciwnym razie kandydaci podlegają egzaminowi według całkowitego programu.

— Zakaz. Łódzka szkoła dentystyczna otrzymała z ministeryum spraw wewnętrznych okólnik, zakazujący przyjmowania do szkoły wychowańców szkół handlowych, oraz młodzieńców, którzy złożyli stosowne egzaminy przed komisyami egzaminacejnemi w korpusach kadetów. Do szkół dentystycznych mogą być nadal przyjmowani tylko ci kandydaci, którzy przedstawią świadectwo z ukończenia sześciu klas gimnazyalnych.

— Nowe ograniczenia. Inspektor szkół w Warszawie rozesłał cyrkularz z dnia 29 września 1910 r. № 4343 w którym zawiadamia, że rada kuratorska, rozważywszy sprawę języka wykładowego przy nauczaniu literatury powszechnej w szkołach prywatnych uznała, iż wykłady tego przedmiotu nie mogą być prowadzone w języku polskim.

Uwaga do par. 3742 XI tomu Zbioru praw, zawierająca Najwyżej zatwierdzone prawo z r. 1905, głosi, że w szkołach prywatnych, wszystkie przedmioty, oprócz języka rosyjskiego, historyi i geografii mogą być wykładane w języku polskim lub litewskim. O innych przedmiotach, a również o literaturze powszechnej niema tam wzmianki, a więc zarządzenie powyższe nie zgadza się z tekstem prawa.

Dla uniknięcia nieporozumień, jako też we własnym interesie prenumeratorów, — prosimy uprzejmie o łaskawe zawiadomienie administracji „Prądu" o każdorazowej zmianie adresu.

KRONIKA.

Ś. p. Ksawery Jaksa Chamiec. Dnia 3 listopada zmarł w Warszawie w 62 roku życia Ksawery Jaxa Chamiec, znany działacz społeczny, długoletni skarbnik Kasy Literackiej i zasłużony tej instytucyi pracownik.

Ś. p. Ksawery Chamiec urodził się w r. 1848 w Pustowarni na Ukrainie kijowskiej. Po ukończeniu uniwersytetu kijowskiego pracował czas jakiś na roli w majątku rodzinnym, następnie zaś przeniósł się do Warszawy, w zamiarze oddania się pracy naukowo-literackiej. Pierwsze studyum historyczne z dziejów Ukrainy drukował ś. p. Chamiec w „Bibliotece Warszawskiej" i wydał je następnie p. t. „Wśród stepów i jarów". Znane i cenne są jego pisma z zakresu etnografii, umieszczone w wydawnictwach Akademii Umiejętności. Prócz tego ś. p. Chamiec był współpracownikiem „Wielkiej encyklopedyi illustrowanej" oraz autorem 12 map graficznych rozwoju górnictwa w Królestwie Polskiem, które to mapy złożył w darze Muzeum Przemysłu i Rolnictwa. Ale poza tym dorobkiem publicystyczno-naukowym ś. p. Ksawery Chamiec dał się jeszcze poznać jako wytrwały i energiczny pracownik na niwie społecznej. Był czynnym członkiem wielu naszych instytucyi społecznych i filantropijnych, w których, jako niezależny materyalnie, pracował bezinteresownie. Przez długi czas pracował w komitecie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, a od samego prawie założenia Kasy Literackiej zajmował w niej z wyboru stanowisko skarbnika, przyczyniając się swą ofiarną pracą do rozwoju tej instytucyi. Pozostaną również w pamięci naszej jego konferencye i przemówienia w „Wieczorach Dyskusyjnych" przed trzema laty. Dla swych przymiotów osobistych, cieszył się wielkiem uznaniem i niezwykłą sympatyą w szerokich kołach. Nagły zgon ś. p. Ksawerego Chamca obudził żal powszechny.

rz.

Ś. p. prof. Stanisław Kostanecki w nocy z 16-go na 17-y listopada zakończył w Würzburgu życie, po operacyi ślepej kiszki, profesor chemii na uniwersytecie berneńskim, ś. p. Stanisław Kostanecki.

Urodzony w r. 1860 w Myszakowie, w ziemi kaliskiej, ś. p. Stanisław Kostanecki uczęszczał do szkół średnich w Poznańskiem, a w r. 1881 wstąpił na wydział filozoficzny uniwersytetu berlińskiego.

W 1885 r. został asystentem prof. Liebermanna, a w 1887 r. przenosi się do Mülhuzy, jako asystent prof. Noeltinga. Oryginalność badań oraz praca twórcza w zakresie chemii organicznej zwróciły uwagę świata naukowego na młodego naszego uczonego, to też już w 1890 r. powołano go na stanowisko profesora zwyczajnego chemii, oraz dyrektora laboratoryum chemicznego na uniwersytecie berneńskim, gdzie znalazł nareszcie możność rozwinięcia działalności naukowej na szeroką skalę.

Ważności osiągniętych przez niezmordowanego i genialnego w pomysłach badacza wyników i odkryć, znajdujących liczne zastosowania w przemyśle zwłaszcza farbiarskim, oceniono należycie w świecie naukowym i przemysłowym.

W 1900 r. otrzymał zgasły profesor, za pomyślne rozwiązanie grupy flawo-

nu, wielki medal od Towarzystwa przemysłowego w Mühuzie, w roku następnym Towarzystwo przemysłowe w Rouen obdarzyło go również medalem, a w maju 1903 r. Towarzystwo chemiczne w Paryżu zaprosiło go do siebie i po wysłuchaniu odczytu o pracach w grupach flawonu i chromonu, udzieliło mu medalu Le Blanca.

Liczba publikacyi znakomitego chemika przekracza półtorej setki. Prace jego ukazywały się przeważnie w *„Berichte der deutschen chemischen Gesellschaft“*, w „Rozprawach Akademii umiejętności” w Krakowie, w *Chemiku polskim“* i t. d. Jako odbitki z *„Chemika polskiego“* wyszły drukiem: „Syntezy o szeregach flawonu i chromonu“ (1903) i „O budowie brazyliny i chematoksyny“.

Zmarły uczony był starszym bratem profesora uniwersytetu jagiellońskiego i kierownika zakładu anatomicznego dr. Kazimierza Kostaneckiego.

Znany literat Ignacy Grabowski przypomina świeżo w „Kurjerze Warszawskim“ pogląd zmarłego uczonego na obowiązki młodzieży polskiej. Oto uczniom, polakom w laboratoryum mülhuzeńskim powtarzał stale:

— Macie do mnie pretensyę, że jestem dla was, polaków, za surowy. Tak. Wymagam od was więcej. Wyście powinni pracować w dwójnasób.

Sam się poczuwał do dźwigania honoru narodu wobec obcych i w innych chciał przelać to wysokie poczucie.

Bracia zmarłego ku uczczeniu jego pamięci złożyli Akademii umiejętności sumę 25,000 koron, która ma nosić nazwę funduszu im. Stanisława Kostaneckiego i służyć na nagrody za samoistne badania naukowe.

Obyż hasło zmarłego uczonego: „pracujcie w dwójnasób! stało się dla nas pobudką w życiu.

▽ „Polonia”, związek katolickiej młodzieży uniwersyteckiej w Krakowie, wydała świeżo sprawozdanie za rok drugi istnienia (1909—1910). Jak widać ze sprawozdania stow. rozwija się. W dniu 12 listopada 1910 r. „Polonia“ liczyła członków zwyczajnych 45. Odczytów i pogadanek odbyło się w ciągu roku 32. Zebrań towarzyskich, wycieczek i t. d. 21. Wystąpień zewnętrznych na uroczystościach i wiecach było 14. W „Polonii“ istnieje kilka sekcyi. Sprawozdanie dały sekcye: odczytowa i kółko prasowe. Pozatem istnieje chór, sekcya zabaw i biblioteka z czytelnią.

▽ Meeting dziennika „La Democratie“. Od czasu potępienia dawnego „Sillonu” przez Stolicę św. Marek Sangnier nie występował zupełnie publicznie. Społeczeństwo zaś, szczególnie te sfery, które interesowały się losem stowarzyszenia, oczekiwało niecierpliwie nowego *credo* byłego przywódzcy republikańsko-katolickiego ruchu młodzieży. Jak donosi dziennik „Le Figaro“. M. Sangnier wystąpił wreszcie publicznie na meetingu dziennika „La Democratie”: Meeting odbył się d. 20 listopada b. r. w sali *„Manège du Panthéon“* Oczywiście *clou* całego meetingu było przemówienie M. Sangnier, w którem wyjaśnił on z jednej strony swe stanowisko religijne z drugiej dał program nowej akcyi demokratycznej.

Przedewszystkiem zaznaczyć należy, że Sangnier pozostał wiernym sobie t. zn. drodze, którą wykreślił sobie nazajutrz po liście Papieża do kardynałów, arcybiskupów i biskupów Francyi i wyraził w swym liście do Ojca św. Dominującą nutą całego przemówienia jest pokora. Były przywódzca „Sillonu“ przypomina z jaką dumą stwierdzał niedawno swe przekonanie katolickie w najrozmaitszych okolicznościach. Doświadczenie, jakie na niego Opatrzność zesłała, daje mu sposobność wykazania szczerości tego wyznania. Z doświadczeń wyszedł on jeszcze silniejszym.

Następnie wyjaśnia Sangnier swe zamiary, które polegają głównie na walce przeciwko niektórym objawom reakcyi, dającej się zauważyć nawet w łonie większości republikańskiej, która wydaje się uznawać, iż zanadto dowierzała klasom pracującym i że pożytecznem byłoby może zatamować nieco ruch syndykalistyczny Sangnier będzie walczył przeciwko tej reakcyi, dając proletaryatowi siły moralne, których on potrzebuje i których większość republikańska dać mu nie może.

Po wypowiedzeniu się Stolicy św. w sprawie „Sillonu“ podniosły się głosy, iż nie można wierzyć Sangnier'owi ponieważ ukorzył się on przed Rzymem, przez co wyzbył się całkowicie swoich poglądów.

Obecny kierownik *„La Democratie“* odpowiada, że dokument papieski, który potępił „Sillon“ stwierdził jednocześnie, że każdy ma prawo zachowywać swe poglądy polityczne. Sangnier pozostanie wierny republice i demokracyi a ponieważ dużo wycierpiał, tem lepiej będzie im służył. Ale droga czysto republikańska i demokratyczna, po której kroczyć będzie jego dziennik nie przeszkodzi „La Democratie” bynajmniej być przesiąkniętą głęboko duchem katolicyzmu.

Zadaniem dziennika będzie: walczyć przeciwko tym, którzy chcą usunąć masy katolickie poza republikę lub usunąć lud z pod wpływu prądów katolickiich. Będzie on wreszcie dążył ku ciągłemu doskonaleniu się, pod kontrolą autorytetu, przed którym zawsze uchyli głowę. Następującemi pięknemi słowy zakończył Sangnier swą mowę:

„Kościół może mię jeszcze karcić, demokracya może odwołać się do mego poświęcenia. Do ostatniego tchnienia walczyć będę za Chrystusa i za demokracyę”.

Mowa przyjęta była nadzwyczaj przychylnie. *Z. F.*

Konkurs na nowelę. Redakcya „Kroniki Powszechnej” ogłasza konkurs na nowelę, osnutą na tle religijnem, narodowem, społecznem lub obyczajowem.

O nagrody dla konkursu przeznaczone ubiegać się mogą tylko utwory oryginalne, nigdzie jeszcze niedrukowane, obejmujące najwyżej tysiąc wierszy. Nowele nadsyłane winny być pisane starannie, bezwarunkowo nie ręką autora, lecz obcem lub maszynowem pismem, bez podpisu, z załączeniem koperty zapieczętowanej i oznaczonej tem samem co rękopis godłem, a zawierającej nazwisko i adres autora.

Wyznacza się dwie nagrody, jedną *dwieście* koron, drugą *sto* koron z dołączeniem honoraryum według norm pisma. Poza nagrodami pieniężnemi utwory celniejsze, nadające się do druku w *„Kronice Powszechnej”*, będą odznaczone. W razie braku odpowiednich utworów Redakcyi przysługuje prawo nie przyznania żadnej nagrody lub przysądzenia tylko jednej.

Termin nadsyłania prac konkursowych pod adresem Redakcyi *„Kroniki Powszechnej”, Lwów, Teatralna 3.* naznacza się na dzień pierwszego marca 1911 r. Po tym terminie mogą być przyjęte tylko takie prace, co do których będzie udowodnione, że najpóźniej 1 marca 1911 r. były wysłane.

Rękopisy nienagrodzone wraz z nieotworzonemi kopertami zwraca się autorom za zgłoszeniem się osobistem lub listownem najdalej w przeciągu trzech miesięcy od daty rozstrzygnięcia konkursu. Nieodebrane w ciągu trzech miesięcy rękopisy ulegną wraz z zamkniętemi kopertami zniszczeniu.

Skład sądu konkursowego ogłosi się później.

Hospicyum polskie w Rzymie zostało otwarte. Mieści się tuż koło Tybru, na rogu dwóch ulic Pietro Cossa i Pietro Cavallini w wielkim nowożytnym gmachu trzypiętrowym w stylu romańskim, wybudowanym zaledwie przed sześciu laty przez zakon żeński z Francyi, który potwierdzenia swojej reguły (Józefinek) nie uzyskał. Stąd, dotychczas nad głównem wejściem do gmachu, widnieje fresk, przedstawiający św. Józefa.

Ponieważ budynek jest nowy, więc też i wewnątrz urządzenie pokoi, odpowiada wszelkim wymaganiom zdrowotności, światła, słońca, tak że całość przedstawia się wzorowo. Kto widział starą budowlę kolegium polskiego na Via de Maroniti, pamiętającą zapewne jeszcze wiek szesnasty mogącą tymczasowo służyć za kolegium, ale niewątpliwie skazaną wcześniej czy później na rozbiórkę, ten z zadowoleniem spojrzy na hospicyum z ulicy Pietro Cossa i na jego rozmiary, na stylową okazałość gmachu, na wyborne powietrze i miejsce, które służyć będzie naszym duchownym, a zapewne czasem i księżom cudzoziemcom, gdyby tam zajechać chcieli.

Jedną z zalet nowego hospicyum, jest także to, że do gmachu należy plac, na którymby jeszcze budować można. Dzisiaj funduszów na to niema, ale w miarę rozszerzenia się instytucyi, w przyszłości do tego może i przyjdzie.

Dziś jednak, aby módz opłacać procenty od sum, jakie zostały na hipotece gmachu, wypada zostawić najętą pewną część jego i od strony ulicy Pietro Cavallini.

Demonstracya studentów hiszpańskich. W madryckim teatrze Novedades dawano przed miesiącem sztukę w której bohater mówi, że ubodzy są tak wyzyskiwani i gnębieni przez bogaczów, że

lekarze używają ich do prób klinicznych i chirurgicznych, jak królików i robią na nich rozmaite doświadczenia, które gdy się udadzą, służą do uzdrawiania bogatych. Profesorowie fakultetu medycznego uznali to za obrazę, a studenci na drugiem przedstawieniu wpadli na scenę i przeszkodzili widowisku. Policya zmusiła publiczność do opuszczenia sali. Nazajutrz deputacya studentów udała się do gubernatora i do prefekta policyi, protestując przeciw takiemu zachowaniu się policyantów i żądając ukarania ich. Popołudniu 2,000 studentów przeciągnęło przez ulice miasta. Prefekt policyi zabronił dalszego wystawiania sztuki.

Uniwersytet w Chinach w Pekinie uległ całkowitej reorganizacyi. Otwarte zostają wydziały literatury klasycznej, prawny, filologiczny, górniczy i handlowy Otwarcie wydziału lekarskiego na razie odroczono. Na wydział literatury klasycznej, będą przyjmowani także studenci cudzoziemcy.

Ilość studentów japońskich dochodzi obecnie do 50,000 — najlepszy to dowód, jak tam szybkie postępy robi wyższa wiedza. Prawie każdy student japoński zna język angielski, którego z zapałem się japończycy uczą; dość powiedzieć, iż jedna prywatna instytucya w Tokio, ucząca tego języka, posiada 11,000 słuchaczy. Z innych języków wśród studentów jepońskich najwięcej cieszą się powodzeniem: francuski, niemiecki, włoski, hiszpański i rosyjski. Na dopełnienie studyów większość studentów japońskich wyjeżdża zagranicę przeważnie do Anglii.

Ofiara zabobonu. W Berlinie odebrala sobie życie 24-letnia studentka z Czech, Sterba, która od dłuższego czasu studyowała tam muzykę. Powód samobójstwa był dość niezwykły. Studentka pozostawała w blizkiej znajomości z pewnym kupcem, który często odbywał dłuższe podróże dla spraw handlowych, zawsze jednak komunikował się z nią listownie. Ostatnim razem przez kilka dni nie dał o sobie znaku życia, co wywołało u zapalnej studentki przypuszczenie, że w jego uczuciach nastąpiła zmiana. Udałą się tedy do pewnej wróżbitki, która przypuszczenie to potwierdziła. Ten motyw zadecydował o śmierci dziewczyny. I to się dzieje w XX-ym wieku!

Nowa katedra w uniwersytecie lwowskim została ustanowiona, a mianowicie etnologii. Pierwszym profesorem tego przedmiotu zamianowany został uczony etnolog, p. Stanisław Ciszewski, autor licznych prac z tej dziedziny umiejętności.

Reformy szkolne w Rosyi. Jak donoszą dzienniki petersburskie, ministeryum oświaty wniosło do Dumy cały szereg nowych ustaw; do najważniejszych z nich należą: 1) ustawa i etaty uniwersytetów rosyjskich; 2) przepisy o egzaminowaniu kobiet ze znajomości kursu wyższych zakładów naukowych; 3) ustawa gimnazyów i szkół przygotowawczych; 4) projekt podniesienia uposażenia nauczycieli szkół średnich męskich; 5) sprawa założenia instytutu pedagogicznego imienia Szełaputina w Moskwie; 6) projekt wprowadzenia nauczania powszechnego w państwie; 7) ustawa szkół początkowych; 8) wyższe szkoły elementarne; 9) żeńskie seminarya nauczycielskie; 10) prywatne zakłady, klasy i kursy naukowe.

O pisownię polską. Towarzystwo miłośników ojczystego języka we Lwowie wniosło do krakowskiej Akademii Umiejętności pismo w którem zaznaczono dotkliwie odczuwać się dającą potrzebę ustalenia sprawy pisowni polskiej. W memoryale, przedstawiającym wyczerpująco tę potrzebę, podniesiono słusznie, że mimo teoretycznie przyjętych zasad pisowni, uchwalonych przez Akademię Umiejętności, wkradł się w praktyce w latach ostatnich niebywały w tym względzie chaos. Wszystkie trzy dzielnice używają różnej pisowni, wszystkie wiedzą o tej niewłaściwości, a nikt nie ujmie się za całością języka i nie użyje odpowiednich środków, aby temu wprost nieszczęściu narodowemu zapobiedz. „W roku rozmyślań nad blaskiem i siłą oręża polskiego przed pięciu wiekami, postawmy silną podwalinę pod gmach ducha narodowego. zespolmy się w pracy, a ujednostajniając pisownię ojczystego języka, dajmy dowód, że pamiętając o rycerskich czynach dzielnego króla Jagiełły, nie zapominamy o przyszłości". Memoryał miłośników języka nie powinien przebrzmieć bez echa.

O zwrot pożyczek. Kasa „Bratniej pomocy" w Darmsztadzie uprasza kolegów, którzy się jeszcze nie uiścili z długów swoich, należnych Kasie, o niezwłoczne przesłanie gwałtownie potrzebnych pieniędzy. Spłaty należy przesyłać pod adresem kasyera: W. Krukowski, Darmstadt, Irenestr. 7.

Bolesław Limanowski, najstarszy z bojowników socyalizmu w Polsce, obchodził w drugiej połowie listopada 75-tą rocznicę urodzin i półwiekowy jubileusz działalności pisarskiej. Nie wdając się tutaj w ocenę krytyczną jego prac i poglądów, ograniczamy się jedynie do zaznaczenia ważniejszych dat z życia Limanowskiego.

Urodzony w 1835 r. w majątku Podgórze na Inflantach polskich, odbył Limanowski studya gimnazyalne i uniwersyteckie w Moskwie. Na tamtejszym też uniwersytecie zaczęły urabiać się główne podstawy poglądów Limanowskiego, którym też pozostał wierny przez całe życie. Nie mniej żyły też w młodzieńcu silne uczucia patryotyczne i narodowe. One też stały się powodem, że w roku 1860 Limanowski udał się do Paryża do wojskowej szkoły Mierosławskiego. Ale już w roku następnym powraca do kraju i zjawia się na gruncie wileńskim, gdzie bierze udział w organizacyi komitetu centralnego na Litwę. Przy pierwszej jednak manifestacyi, urządzonej przez ten komitet, dostaje się, razem z towarzyszem swych prac rewolucyjnych, dzisiejszym profesorem uniwersytetu lwowskiego, Benedyktem Dybowskim, do więzienia, skąd po kilku miesiącach wywożą go do guberni Archangielskiej, najpierw do miasteczka Mezenia, a później do Archangielska. Siedem długich lat przebył Limanowski na tem wygnaniu.

Objęty amnestyą w roku 1869 wraca Limanowski do kraju i stanąwszy na bruku warszawskim bez środków do życia, wstępuje do jednej z fabryk jako zwyczajny robotnik, nie przerywając ani na chwilę żmudnej pracy nad swoim rozwojem umysłowym i ulubionych studyów naukowych. Wojna francusko-niemiecka i łączące się z nią nadzieje zwycięstwa Francyi stwarzają grunt do marzeń o możliwości utworzenia legionu polskiego za granicą, Limanowski więc wyjeżdża za granicę. Nadzieja jego jednak rozwiała się niebawem, a młody entuzyasta zostaje w Galicyi, osiedlając się we Lwowie. Tu też rozwija po raz pierwszy swoje poglądy na sprawę robotniczą, wygłaszając w Stowarzyszeniu rękodzielniczem „Gwiazda“ szereg odczytów o kwestyi robotniczej.

Powoli zaczęły się grupować koło Limanowskiego gorętsze żywioły z pośród młodzieży uniwersyteckiej i rzemieślniczej, co ściągnęło nań represye policyjne i w roku 1878, po dziewięciu latach pobytu we Lwowie, wydalono go stamtąd jako „niewygodnego obcokrajowca...“

Rozpoczęła się odtąd dla Limanowskiego tułaczka po obczyźnie. Osiadłszy najpierw w Genewie, przeniósł się potem do Zurychu, a po bezskutecznej próbie uzyskania pozwolenia na powrót do Galicyi, w 1892 roku do Paryża, gdzie otrzymał skromną posadę w Towarzystwie ubezpieczeń. Przed kilku wreszcie laty pozwolono mu wrócić do Galicyi, zamieszkał więc w Krakowie.

Z długiego szeregu dzieł Limanowskiego do ważniejszych należą dwutomowa historya ruchu społecznego w XVIII i XIX wieku, historya powstania styczniowego; historya demokracyi polskiej i wydana w roku ubiegłym wielka monografia o Stanisławie Worcllu.

Ku czci Stanisława Szczepanowskiego. W 10-tą rocznicę śmierci Stanisława Szczepanowskiego odbył się we Lwowie obchód, urządzony przez młodzież lwowską. Obchód rozpoczęło nabożeństwo żałobne, odprawione w kościele św. Mikołaja przez ks. biskupa Bandurskiego. Młodzież akademicka i szkół średnich zebrała się po południu na cmentarzu, gdzie na grobie Szczepanowskiego złożono wieniec kartkowy, wieczorem zaś w sali ratuszowej urządzono uroczysty wieczorek. Akademik Franciszek Socha, przewodniczący Koła T, S. L. im. Wyspiańskiego, rozpoczął od przemówienia wstępnego, w którym, nakreśliwszy działalność i zasady Szczepanowskiego, złożył imieniem młodzieży przyrzeczenie, że ideom jego dochowa wierności i wcielać je będzie w czyny, które doprowadzą do zwycięstwa. Dominującym punktem obchodu był odczyt współtowarzysza pracy Szczepanowskiego, inż. Wacława Wolskiego, który nakreślił profil duchowy Szczepanowskiego na tle epoki w której żył i działał. Programu dopełnił śpiew p. M. Marklowej, gra na skrzypcach p. Billiga przy akompanjamencie p. Jadwigi d'Abancourt, wreszcie deklamacya p. M. Wielandówny.

Z politechniki we Lwowie. Na dorocznem zgromadzeniu walnem Koła mechaników *jury* w politechnice we Lwowie do zarządu weszli: pp. Czesław Tabor, Mieczysław Neugebauer, Apolinary Bendych, Karol Janowicz, Józef Jelec, Konrad Zieliński, Jerzy Tokarski, Eugeniusz Grafczyński, Bolesław Biskupski i Feliks Szewczyk.

Do komisyi lustracyjnej pp: Barszczewski. Mystkowski i Vorbrodt i do komisyi

wycieczkowej pp: Bachman, Fleszar, Jesionowski i Roguski.

▽ **Sprostowanie** do № 9—10.

Do sprawozdania z książki „Poglądy demokracyi chrześcijań. we Francyi"

str. 325—5-y wiersz od dołu zamiast „rozwija" czyt. „rozwijała".

Do sprawozdania z książki „Wstęp do ekonomii społecznej chrześcijańskiej".

str. 328—16-y wiersz od góry zamiast „gorszących" czyt. „gorszych"

str. 329—16-y wiersz od dołu zamiast „brało udział w życiu handlowym" czytaj „oraz życie handlowe".

str. 331—1-y wiersz od góry zamiast „podczym" czytaj „pod czym".

str. 331—1-y wiersz od góry zamiast „mówić, pisać" czytaj „mówić i pisać".

Odpowiedzi Redakcyi.



P. Wincenty M. w L. Domysły Sz. Pana są słuszne, iż głównem źródłem opóźnień są sprawy finansowe. Mamy nadzieję, iż przy poparciu tak oddanych nam przyjaciół, jak Sz. Pan, rok przyszły będzie pomyślniejszy.

Kol. Stefan B. w D. Z rękopisu Waszego skorzystamy ale nieco później, gdyż obecnie posiadamy kilka rzeczy bardziej aktualnych. Przy nawale różnych zajęć niezawsze mamy czas do natychmiastowego oceniania nadsyłanych rękopisów, gdybyście zawiadomili, iż Wam na czasie zależy, to dawno już mogłaby sprawa być załatwiona.

Kol. Romuald. Ż. w W. Owszem o dalsze artykuły i korespondencye prosimy. O ile wiemy pierwszy występ zrobił dobre wrażenie wśród czytelników.

P. Eustachy Pt. w Cz. Poezye nadesłaneniezbyt świetne; radzilibyśmy szczerze dalszych prób zaniechać, bo naszem zdaniem przy najusilniejszej pracy trudno będzie dojść do wybitnych rezultatów, — a przecież teraz tylu mamy poetów, wysoce nawet uzdolnionych, że przy małym talencie trudno marzyć o wybiciu się. Możeby Pan spróbował sił na polu publicystyki.

Kol. Józef Mn. w Paryżu. Za wiadomości o zjazdach dziękujemy: do tego numeru przyszły zapóźno, skorzystamy z nich bezwarunkowo w numerze styczniowym.

Red. „Roli". Słuszność wyjaśnienia uznajemy, ale szkoda, że to nie było odrazu powiedziane w owej notatce, o „Kurjerze" lubelskim, gdyż bez tego otrzymywało się wrażenie, jakoby zawsze i wszędzie w zasadzie cytowanie słusznych poglądów z pism przeciwnego obozu „Rola" uznawała za rzecz zdrożną.

Redaktor i Wydawca **Adam Szymański**. Druk. E. Nicz i S-ka, Nowy-Świat 70

1911 — ROK XIV WYDAWNICTWA

„HOMILETYKA"

Pismo miesięczne, zawiera dział kaznodziejski, teologiczno—pasterski, liturgiczny, ascetyczny i społeczny, pod redakcyą **ks. Maryana Nasalskiego.**

Roczniki „Homiletyki" tt. I i II (cena zniżona) tt. od IV — XXIII są jeszcze do nabycia.

HOMILETYKA wychodzi we Włocławku, g. Warsz. Cena roczna rb. 6, z przes. za granicę rb. 8.

Wydawnictwa „HOMILETYKI".

„Przewodnik Społeczny"—Pismo pasterskie, roczniki; 1908 i 1909 po cenie zniżonej rb. 3.—roczn. 1910 rb. 2.

Przemówienia do dzieci przy pierwszej Kom św. przez *ks. M. Nasalskiego*—Cena 20 k.

Ćwiczenia duchowne i sposób prowadzenia misyi—tegoż autora.—Cena 1 rb. kop. 60.

Ćwiczenia duchowe dla dzieci przystępujących do spowiedzi i pierwszej Komunii św. Cena 40 kop.

Upomnienia duchowne w rozważaniu prawd wiary św. ku czci Matki Bożej jako treść do rozmyślań lub czytań duchownych, in 32^{0}.—Cena egz. 60 k., opr. w płótno 90 k. i 1,30 k.

Wezwanie do pokuty. Cztery serye kazań pasyjnych, oraz trzy kazania na Wielki Piątek według starego rękopisu z końca XVIII w. opracował *ks. M. Nasalski*—1 r. 50 kop.

Rady i wskazówki, dodatek popularny do „Homiletyki", czytania dla rodzin katolickich, oddzielne roczniki z r, 1906, 1907, 1908 i 1909. Str. 192.—Cena 60 kop.

Pamiątka I-ej Komunii św. 100 egz. 1 rb.

Formularium legale practicum

in parochorum, vicariorum foraneorum nec non curiarum episcopalium usum compositum cui binae documentorum appendices accedunt, edidit **M. NASSALSKI**, editio aucta et emendata.

Cena rb. 5 bez przesyłki. Dla abonentów „Homiletyki" cena **4.50.**
Koszt przesyłki za zaliczeniem pocztowem za 1 egz. 57 k., za 2 egz. 87 k., za 3 rb. 1,05.
Koszt przesyłki na Syberyę za 1 egz. 87 k.—za granicę za 1 do 4 egz. 74 k.

Ocena dzieła. Jest to książka bardzo zajmująca, napisana z wielką pilnością i podziwu godną uczonością w tonie nader przystępnym i zrozumiałym, staje się przeto niezbędnym podręcznikiem w sprawach kościelnych. Dla proboszczów, szczególniej dla polaków, dzieło znakomite.

Korrespondenz-Blatt. —Wien. n. 3. 1907.

Redaktor i Wydawca Adam Szymański. Druk. E. Nicz i S-ka, Nowy-Swiat 70